№ 46. Warszawa, dnia 17 (5) Listopada 1883 r. Rok III.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

**Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.**

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.

UROCZYSTOŚĆ LUTRA.

Niemcy święciły czterechsetną rocznicę urodzin M. Lutra. Rzeczywiście jest to dla całego świata protestanckiego wspomnienie bardzo poważne, bo odnosi się do człowieka, który — chociaż mimowiednie a nawet poniekąd mimowolnie — otworzył nową epokę w dziejach i wzbudził w niej potężny ruch i życie. Ojcu Reformacyi musimy przyznać wyjątkową rolę nawet wtedy, gdy z niej odtrącimy zapisane na jego rachunek zasługi, których on sam albo nie położył, albo by ich nie uznał. Był to bowiem fanatyk religijny, w swoich przekonaniach filozoficznych daleko stojący po za papieżem, którego spruchniały tron buntowniczą ręką druzgotał, całą mądrość ludzką zamykał w Biblii, którą rad był włożyć w ręce każdego, ażeby z nich inne książki wytrącić; był to ognisty, namiętny i nieustraszony apostoł, który czuł barbarzyńską wzgardę dla wszelkich nauk, niebędących służebnicami teologii, i najsilniej przeklinał swoją własną, mimowoli przezeń zrodzoną, a przez potomnych najbardziej czczoną córkę — swobodę myślenia. Gdyby dziś zmartwychwstał i zobaczył, co wyszło z łona Reformacyi, gdyby w swoich Niemczech i w tych uniwersytetach, których drzwi zamykał nawet przed Arystotelesem, ujrzał ołtarze dla Kantów, Schopenhauerów, Lamarcków, Darwinów, a przy nich w kapłańskich szatach Wundtów, Haecklów, Virchowów, z pewnością, jak kiedyś w widmo dyabła, rzuciłby w nich kałamarzem. Niezależnie jednak od tej ostrej sprzeczności skutków Reformacyi z zamiarami jej rodzica, stoi on w dziejach jak olbrzymia skała, która ich potok zwraca w inną stronę, w szersze łożysko. Chociaż Luter nie marzył o tak wielkim przewrocie, jakiego dokonał, chociaż następstwa pobiegły daleko po za jego wolę i w kierunku jej przeciwnym, on jednak był ową pierwszą przyczyną wielkiej umysłowej, społecznej i politycznej rewolucyi, która zburzyła ciemne piwnice wieków średnich i zbudowała na nich gmach kultury nowych. Wiadomo z historyi, jak nagle odżyła Europa w owej dobie, a jeśli nawet pominiemy odrodziny literatury i wiedzy, a zwrócimy tylko uwagę na wyzwolenie się państw protestanckich z zależności od papiestwa, na usamowolnienie ducha mas, którym pozwolono swobodnie tłomaczyć sobie Pismo św., zrozumiemy łatwo, jak ta na pozór drobna przemiana kryła w zarodzie doniosłe skutki.

Z bardzo też nielicznymi wyjątkami, narody protestanckie zajęły w cywilizacyi stanowisko wyższe od katolickich. I nie dlatego bynajmniej, ażeby katolicyzm, jako religia, był od protestantyzmu niższym, ale dlatego, że nieruchomy w swych zasadach, despotyczny w wymaganiach, ścieśniający swobodę badania do najwęższych ścieżek kładł tamy rozwojowi życia we wszystkich rozgałęzieniach.

Jeżeli w dzień uroczystości Lutra zadamy sobie pytanie, czemu Reformacya tak słabo przyjęła się u nas, to odpowiedź na nie objaśni zarazem, czemu tak potężnie rozrosła się w Niemczech. Tam była ona burzą nietylko religijną, ale społeczną i polityczną, u nas prawie wyłącznie religijną, chociaż ją społeczne waśnie wsparły. Jak moc wybuchu zależy od mocy oporu, podobnie i każdy przełom cywilizacyjny rośnie pod naciskiem warunków. Prawda, że w chwili, gdy do nas zawiały pierwsze prądy odszczepieństwa, między szlachtą a duchowieństwem toczyły się boje, ówczesna wszakże Polska, była krajem posiadającym nadmiar swobód, Rzesza niemiecka zaś nie miała nawet koniecznych. Podczas więc gdy tam Reformacya szybko ogarnęła płomieniem wszystkie stosunki, u nas mogła tylko posłużyć za broń wyemancypowanej szlachcie do zdobycia nowych przywilejów, których już niewiele do zdobycia pozostało. Chociaż przeto Leszczyńscy stawali w kościele z nakrytą głową, chociaż inni nazywali publicznie księży „rodem jaszczurczym," chociaż Zygmunt August miał popierać myśl utworzenia kościoła narodowego, ruch się nie wzmógł, bo nie spotkał dostatecznego oporu w stosunkach społeczno-politycznych:

Była to garść prochu spalona na otwartem miejscu. Szlachcic polski do subtelności teologicznych ani nie czuł pociągu, ani nie posiadał uzdolnień, z góry nie doznawał żadnego ucisku, z duchowieństwem żył w zgodzie, na torturach za swe przekonania rozpinany nie bywał, na co mu więc przydać się mogła herezya? Na chwilowe starcie z tronem lub kościołem, na odmianę powodów do walki, która już niewiele obiecywała mu łupów dla nasycenia samolubstwa.

Z tych względów uroczystość Lutra o ile jest świętem narodowem w Niemczech, o tyle w naszem społeczeństwie przebrzmiała bez głośnego echa. Niewątpliwie wielki reformator liczy i u nas gromadkę wyznawców, którzy rocznicę jego urodzin uczcili wdzięcznością religijną, ale była to cześć, niewychodząca po za mury zboru. Zapał gorzał tylko w piersiach niemieckich. Dziś zresztą, gdy narodowość dla obrony własnej tak ścisłem przymierzem związała się z katolicyzmem, gdy nawet ewangielicy na wydatniejszych stanowiskach katolizują, o szerszem uniesieniu dla Lutra nie mogło być mowy. Myśl utworzenia kościoła narodowego a bodaj zluźnienia związku z papiestwem wydałaby się obecnie większą herezyą, niż za Jagiellonów. Odstępujemy czczej zabawce w *gdyby* rozstrzygnięcie: czy Pol-

ska zyskałaby lub straciła na przyjęciu protestantyzmu; my pozostajemy przy faktcie, że go nie przyjęła, że chociaż on oddziałał niewątpliwie na jej literaturę, którą po części znarodowił, a także, w słabszym stopniu, na stosunki polityczno-społeczne, przesunął się wierzchem naszego życia i nie pozostawił śladów, które byśmy dziś mogli złożyć w ofierze pamięci Lutra. Polska też prasa zapisała tak chłodno i krótko czterechsetną rocznicę jego urodzin, jak gdyby one w jej duszy nie wskrzeszały żadnych wspomnień. A może ostudziły zapał hasła mściwości i zagłady, które grzmią bezustannie przeciw nam z ust najprawowierniejszych potomków wielkiego reformatora?

Drobienie ziemi.

Komu dziś dobro ludu nie leży na sercu, kto nie płacze krokodylemi łzami nad jego niedolą, kiedy ks. Bismark ogłasza się wykonawcą testamentu Lassalle'a, feodałowie austryaccy zwołują wiece włościańskie, a nawet „samobytny,“ nikogo nienaśladujący p. Aksakow, ulega podszeptom ducha czasu i również dla dobra ludu i w jego imieniu żąda cofnięcia się wstecz o dwieście lat, przywrócenia chłosty i t. p. dobrodziejstw niezakażonej kultury słowiańskiej. Patrząc na tę komedyę, tak zręcznie odgrywaną, zdawać się niejednemu może, że wygłoszone przez Rewolucyę hasło: wszystko dla ludu—znalazło dziś swe urzeczywistnienie, rozumie się, bez niepotrzebnego dodatku: i wszystko przez lud. Przyczyny tego faktu nie trudno zbadać. Bądź co bądź, Europa demokratyzuje się coraz więcej i masy przychodzą powoli do świadomości swoich sił i swego położenia. Liczba — to straszna siła i klasy panujące są wobec niej bezbronne, pomimo środków przewagi, jakie im daje wiedza i kapitał.

W tej obawie rozbudzenia śpiącego olbrzyma spoczywa źródło rozpoczętego od niedawna zwrotu do ludu, wobec zaś szeroko już odczutej konieczności upaństwowienia gospodarstwa narodowego, projekty poprawy stosunków ekonomicznych posłużyły jednocześnie do wzmocnienia i tak już dosyć mocnych czynników władzy i porządku społecznego. Najsilniejszą działalność w tym kierunku rozwinął rząd niemiecki, w ślady jego wstępuje obecnie posłuszna wskazówkom z Berlina—Austrya. Robotnik fabryczny oświeceńszy, mający przedstawicieli swych interesów w parlamencie, nie poszedł na lep obiecujących mu złote góry frazesów, zwrócono się więc do chłopa z większą nadzieją osiągnięcia zdemaskowanych gdzieindziej zamiarów, Chłop prawie zawsze i wszędzie jest pod pewnym względem zachowawcą, wpływa na to po części rodzaj jego zajęć, a głównie niski poziom umysłowy; łatwiej więc konserwatyści znaleść mogli wspólne punkty styczności. Ogólny ten nastrój odbił się i u nas, z właściwą przygrywką o „zgodzie chaty z dworem,“ o „braterstwie dzieci jednej ziemi,“ a nawet pisma, których dotychczasową specyalnością były żale nad ruinami większej własności i piecza o jej zachowanie, odpowiednią ilość swych łez i starań udzieliły wspaniałomyślnie młodszym braciom.

W Galicyi nie mógł pozostać bez śladu duch, jaki zapanował w sferze wewnętrznej polityki austryackiej. Sojusz z żywiołami wstecznymi, chociaż zrazu w imię praw narodowych zawarty, w logicznem następstwie doprowadzić musiał z początku do układów, w końcu zaś do poddania się panującemu prądowi i płynięcia wraz z nim. Szlachecka większość sejmu, bardziej jeszcze karmazynowego, niż jego poprzednicy, skorzystała wybornie z nadarzającej się sposobności i zaznaczyła wybitnie swą jednomyślność z feodalnemi usposobieniami rządzącej partyi. Z jezuicką zręcznością landlordowie galicyjscy, utworzywszy koło posłów z kuryi włościańskiej, wytrwale podczas całej kadencyi starali się wyświadczyć chłopom jak najwięcej dobrodziejstw, nie pytając wcale, czy te łaskawe postanowienia przypadną do smaku obdarowanym. Naprzód marszałek Zyblikiewicz w gorliwości o rozkrzewianie oświaty wystąpił przeciw ulepszaniu szkół istniejących, radząc ścieśnić ich program do nader skromnej miary a natomiast zalecił zakładanie nowych z mniejszym zakresem, w których nauczycielami mogliby być ludzie, nieposiadający żadnych kwalifikacyj naukowych, ale skromni i bogobojni, jak np. organiści, wysłużeni lokaje itp.

Pomijam inne projekty, których charakter aż nadto jest widocznym i przechodzę do wniosku p. Grocholskiego, godnie wieńczącego ten gmach wstecznych zachcianek. Przyjęcie prawa o niepodzielności osad i zaprowadzenie pewnego rodzaju majoratów włościańskich wywołało nawet w sejmie lwowskim burzliwą opozycyę.

Naprożno jednak p. Hausner w świetnej przemowie zbijał ze stanowiska liberalnego zasadniczą myśl projektu, naprożno posłowie rusińscy domagali się głosu—większość nikogo i niczego słuchać nie chciała i postawiła na swojem. Cel tej uchwały aż nadto widoczny. Nie pierwszy to już raz feodałowie starają się przenieść ulubione swe zasady majoratów i fideikomisów do sfery stosunków włościańskich. Głównym dowodem, jaki wysuwają na pierwszy plan, jest utrzymanie pewnego stopnia dobrobytu śród ludu. Zapewne, ci uprzywilejowani, którzy dostaną ziemię, mogą mieć się wcale nieźle, ale natomiast wytwarza się cały zastęp wydziedziczonych biedaków, proletaryat bezrolny, najnędzniejszy z nędzarzy, bo pozbawiony właściwej i znanej mu pracy, a do innej — niezdolny. W ten sposób lud rozbija się na dwie części: mniejsza ilość wybranych pozostaje przy posiadaniu ziemi i wspólność interesów zbliża ją coraz bardziej do klasy posiadaczów większych, a odpycha od milionowej rzeszy najmitów, z których najszczęśliwszym przypada w udziale posada dworskiego lub gospodarskiego parobka, inni zaś, jako wyrobnicy lub komornicy, szukać muszą sposobów do życia pracą z dnia na dzień, przymierając z głodu na przednówku, a nie najadając się nigdy. W rezultacie świetna perspektywa dla kraju: przy pomocy taniego robotnika gospodarstwa folwarczne rozwijają się coraz bardziej, postęp w rolnictwie wzrasta, a nawet Hrycie i Wojciechy (ci wybrańcy, co zostali na ojcowiźnie) przerabiają swe zagrody na angielskie fermy, urządzone według ścisłych wymagań uczonej agronomii. Co za imponująca przyszłość!

Z KSIĘGI KSIĄG*).

Twardem wrogiem i niesprawiedliwem jest wszystko, co nas otacza. Ze wszech stron stoją zapory przeciw najnaturalniejszym pobudkom, na każdym kroku spotykamy niską złość, musimy się bronić i bronić, aby nie zginąć. *Laube.*

Życie jest długiem, bardzo długiem wzdychaniem przed tchnieniem ostatniem. *J. Paul.*

Człowiek jest dziełem rozwoju, a nie stworzenia. *Oken.*

Bogaty, wielki świat nie wszedłby w tę odrobinę rozpiętej skóry, w której my tkwimy; dlatego otrzymaliśmy oczy, ażeby go połykać kawałkami. *Hebbel.*

Nie wiem, czy co bardziej upokarza człowieka, nad pewność, w której żyjemy, że niepodobna wymarzyć nic tak niedorzecznego i śmiesznego, co by kiedyś lub gdzieś nie było uważane przez ludzi za prawdziwe, poważne i czcigodne. *Wieland.*

Chociaż niewielu tylko jest Cezarów, każdy jednak człowiek raz staje nad swoim Rubikonem. *Benzel-Sternau.*

Ludzie! Głowę nosicie wprawdzie wysoko, ale w głowie myśli wasze pełzają nisko. *Heine.*

O ludziach niepodobna tak źle myśleć, ażebyśmy sobie pewnego dnia nie musieli powiedzieć: myślałeś o nich za dobrze. *Hebbel.*

Człowiek ma półtrzeciej minuty: jedną do śmiechu, jedną do wzdychania i pół do miłości, gdyż wśród tej minuty umiera. *J. Paul.*

W życiu człowiek dziesięć lat walczy i dziesięć lat błądzi — podobnie, jak Ulisses. *Feuerbach.*

W niewielu kobietach zasługa trwa dłużej, niż piękność. *La Rochefoucauld.*

Kobiety żądają jednocześnie rzeczy wielkich i małych: miłości i grzeczności — miliona w drobnej monecie. *Börne.*

Jeżeli żona jest brzydka, nie podoba się; jeżeli piękna — podoba się innym; jeżeli bogata, maż jest biednym, jeżeli—biedna, trudno ją wyżywić; jeżeli — mądra, chce rządzić; jeżeli — głupia, nie umie być posłuszną. *Hippel.*

Gdybyś mógł obejrzeć kolej życia każdego człowieka, znalazłbyś kobietę, która jak ciężar ołowiany przy nim wisi, staje mu na drodze i powstrzymuje go, albo pobudza i zachęca, albo ze swego powozu kiwa nań, tak, że on przybiega i zaszczyt wyścigu innym pozostawia, albo podaje mu jabłko i mówi: „Jedz!“ albo podsuwa sztylet i szepcze: „Uderz! Tam leży Dunkan i jego korona, a sposobność jest przyjazna.“ *Thackeray.*

Że kobieta z natury przeznaczona do posłuszeństwa, widzimy z tego, iż każda, znalazłszy się w przeciwnem jej istocie położeniu zupełnej niezawisłości, wkrótce łączy się z mężczyzną, który nią kieruje i rządzi, gdyż ona potrzebuje pana. Jeżeli młoda, tym panem jest kochanek, jeżeli stara — spowiednik. *Schopenhauer.*

Natura chciała z kobiety zrobić arcydzieło, ale pomyliła się w glinie — wzięła za delikatną. *Lessing.*

Wiadomo powszechnie, że dziewczęta często biorą czułostkowość za prawość, listy za czyny, łzy atramentowe za uczciwą i gorącą krew. Kobiety najbardziej unikają słówka *tak*, a przynajmniej wymawiają je dopiero po *nie*. *J. Paul.*

Ośmieszono kobiety uczone, nawet ukształcone nazywamy nieznośnemi, prawdopodobnie dlatego, że uważamy za niegrzeczność zawstydzać tylu głupich mężczyzn. *Goethe.*

Mężczyzni baczą na to, co się o nich myśli, kobiety na to, co się o nich mówi. *Hippel.*

*) Pod tym tytułem wyszedł niedawno po niemiecku w dwu tomach zbiór głębokich lub dowcipnych zdań najrozmaitszego pochodzenia. Chociaż znajdujemy w tym bukiecie nawet kwiaty literatur wschodnich, naszą pominięto. Owa jednak *Księga ksiąg* jest bardzo ciekawą, a ponieważ żadne sprawozdanie nie określiłoby jej treści dokładnie, więc przytaczamy wypisy.

Nie zachwycają się nią wszakże ci, dla których dobrobyt kraju nie spoczywa w bezwzględnym wzroście wytwarzania bogactw, lecz w możliwie równomiernym ich podziale, którzy nie czują zachwytu na widok niebotycznych wyżyn i niezgłębionych otchłani społecznych, owszem, demokratyczny wzrok ich lubuje się w równinie, którym leży na sercu zwiększenie szeregów obywateli, a nie fabrykacya „esbouquetu" zamożności i kultury kosztem nędzy i upośledzenia milionów.

Łatwo również odeprzeć drugi argument obrońców nowego prawa, że podobne przepisy w Królestwie wywierają jak najlepszy wpływ na dobrobyt ludności rolnej. Właściwie rozporządzenia b. Komitetu urządzającego zabraniają tylko dzielenia gospodarstw włościańskich na cząstki mniejsze, niż 6 morgów, ale zarazem ubezpieczają posiadanie ziemi w rękach chłopów, nie pozwalając nabywać jej osobom, należącym do innych stanów. Zresztą ograniczenia te noszą charakter czasowy, mają na celu umocnienie własności drobnej i jako takie odpowiadają zupełnie swemu założeniu. Dziś mogłyby być zniesione bez szkodliwych dla ludu następstw, a w żadnym razie nie mogą służyć za podstawę do wyrokowania o korzystnym wpływie niepodzielności osad, bo na względnie pomyślny stan materyalny włościan w naszym kraju złożyły się liczne a różnorodne przyczyny.

Nie wytrzymuje również krytyki obrona niepodzielności, podparta zasadą, że zbyt drobne rozmiary gospodarstw szkodliwie oddziaływają na ich wytwórczość. Przykład Francyi, jeżeli nie podkopuje powagi tego zdania, to przynajmniej silnie narusza jego bezwzględność. Wreszcie najlepsze lekarstwo w danym wypadku znajduje się w stowarzyszeniach rolnych, prowadzących uprawę wspólnemi siłami i dzielących między siebie jej płody. W obecnych zaś warunkach najdrobniejsze nawet parcelowanie ziemi korzystniejszem jest od gromadzenia jej w nielicznych rękach. Dom z kawałkiem ogrodu, chociaż nie wystarcza na utrzymanie rodziny, daje jednak właścicielowi pewną niezależność i pozwala mu przetrwać ciężkie chwile bezrobocia. Gdyby mniemanych dobrodziejów ludu sprawa jego w samej rzeczy obchodziła szczerze, zamiast zaprowadzania niepodzielności i przepisywania określonego minimum, pomyśleliby raczej o zapobieżeniu wręcz przeciwnym objawom skupiania się ziemi włościańskiej w rękach ex-wójtów, szynkarzy itp. spekulantów, czemu choć w części zaradzić by mogło ogłoszenie pewnego maximum. Ale takie rzeczy galicyjskich Licyniuszów i Gracchów nie interesują zgoła, im spać nie dają laury Lichtensteina i Schorlemer-Alsta. Zaślepieni osobistymi względami, zamiast łagodzić przebieg ostrej choroby, nurtującej dziś ciało wszystkich społeczeństw, przez nierozsądek własny zwiększają owszem stopień jej natężenia, sieją burzę, której pioruny najpierwej spadną na ich głowy.

J. Ł. P.

„Młoda Polska."

Zarówno znana ścisłość niemiecka, jak i bliskie stosunki p. Karpelesa z naszą literaturą upoważniały nas do przypuszczenia, że jego artykuł o „Młodej Polsce" we *Frankfurter Zeitung* będzie gruntowniejszym. Tymczasem znaleźliśmy szereg uwag, którym tu i owdzie nie można odmówić trafności, które ogółem wszakże przekonywają, że autor ostatniej doby naszego piśmiennictwa i świeżych w niej prądów dostatecznie nie zbadał i zbyt domysłowi lub pamięci swojej zawierzył. Ale ponieważ dla czytelników zawsze jest zajmującem wiedzieć, jak ich literatura odbija się w cudzej, więc przytoczymy główniejsze wywody autora niemieckiego.

P. K. zestawia „młodą Polskę" z „młodemi Niemcami" trzeciego dziesiątka wieku bieżącego. „I tu, jak tam — powiada — główny zastęp bojowników ducha stanowi młode pokolenie, po raz pierwszy śmiało wkraczające na gościniec cywilizacyi nowoczesnej i wytrwale walczące pod jej godłami. I tu, jak tam, chodziło o wykazanie chwiejności istniejących stosunków społecznych, literackich i religijnych, o utorowanie dróg nowych, o skruszenie więzów kościoła i form przeżytych. Skoro wszakże skończyła się praca niszczenia i burzenia, skoro należało postawić system nowy — cele dwu obozów młodych rozchodzą się o niebo całe. „Młode Niemcy" żądają wyzwolenia kobiet i żydów, a główną ich zasadą jest wolność człowieka, którą pojmują w tem znaczeniu, że każda jednostka powinna mieć prawo do bytu i rozwoju samodzielnego. Przedstawiciele „młodej Polski" w dążeniach swych są o wiele praktyczniejsi. Jako synowie drugiej połowy dziewiętnastego wieku poprzestają (?) oni na wywieszeniu chorągwi postępu przemysłowo-ekonomicznego i wszechstronnego wykształcenia duchowego, pewni, że ten postęp i to wykształcenie z każdego osobnika uczynią człowieka nowoczesnego i zamiast za mrzonkami chimerycznemi pozwolą iść ku zadaniom bardziej dotykalnym. W sposobie znów stawiania zadań swoich i prowadzenia rozpraw „młoda Polska" z „młodemi Niemcami" wielkie ma podobieństwo. I tu, jak i tam, bowiem przywódcy nowego ruchu przemawiali tonem pełnym junakieryi, prawdziwie studenckim, który głęboko ranił ludzi starszych i niepotrzebnie rozszerzał przepaść między stronnictwami."

Początek nowych prądów u nas autor odnosi do r. 1863, opisuje zrodzone wówczas wrzenie w umysłach młodych i tak zwany „bierny opór" ze strony starych, oraz twierdzi, że skutkiem starć owych był stanowczy przewrót w zapatrywaniach narodowo-politycznych i w metodzie badań historyczno-krytycznych. Przechodząc do ocenienia wpływu „młodej Polski" na utwory literatury pięknej, p. K. przedewszystkiem zwraca uwagę na stanowisko, jakie wobec tego ruchu postępowego zajęli Kraszewski i Jeż. Pierwszy z nich, według autora, przy całej olbrzymiej działalności swojej i niezrównanej płodności głosił tylko to, co uznawali, a raczej musieli uznawać wszyscy, nie przerażał nigdy ogółu żadnymi niezwykłymi poglądami, a jeśli nawet dotykał kiedy drażliwych kwestyj religijnych, politycznych, filozoficznych lub społecznych, rzucał na nie światło tak niewłaściwe, i w formie tak przesadnej, iż z góry już niekorzystnie o nich uprzedzał czytelnika. To wszystko miało stać się powodem, że Kraszewski stoi zdala od obozu postępowego dotąd, chociaż nieje-

---

Są mężczyźni, którzy przewyższają wymowę kobiecych języków, ale żaden nie posiada wymowy kobiecych oczu. *Weber.*

Wiek więcej ściąga zmarszczek w naszym rozumie, niż w twarzy. *Montaigne.*

Matki dają naszemu umysłowi ciepło, ojcowie światło. *J. Paul.*

Dowcip jest swobodą niewolników. *Ruge.*

Żarty ludzi bogatych są zawsze dowcipne. *Goldsmith.*

Jeżeli w świecie ukaże się prawdziwy geniusz, możecie go zaraz rozpoznać po tem, że wszyscy głupcy zawierają przeciw niemu sojusz. *Swift.*

Największe męstwo polega na tem, ażeby bez świadków zrobić to, co chcielibyśmy zrobić przed całym światem. *La Rochefoucauld.*

Znoszenie krzywd pochlebia wielkim duszom. *Schiller.*

Zwykły zdrowy rozsądek ludzki jest złym sędzią w sprawach wielkich. *Renan.*

Pierwszem i ostatniem wymaganiem od geniuszu jest miłość dla prawdy. *Goethe.*

Błędy wielkiego umysłu są bardziej pouczające, niż prawdy małego. *Börne.*

Bez namiętności niema geniuszu. *Mommsen.*

Nowe, śmiałe, porywające ideje rodzi tylko jasna głowa, stojąca nad gorejącem sercem. Najlepsze wina udają się na wulkanach. *Jacobs.*

Mimo pozornego a nawet szczerego hołdowania rzeczywistej lub mniemanej prawdzie duchowej, ogólny bieg spraw ludzkich dąży do obdarzenia władzą panującą mierności. *Mill.*

Prawdziwa moralność nie jest zależną od żadnej religii, chociaż każda ją uświęca i zyskuje w niej podporę. *Schopenhauer.*

Namiętności są jedynymi mówcami, którzy zawsze przekonywają. *La Rochefoucauld.*

Występek jest fałszywą arytmetyką moralną. *Bentham.*

Sumienie jest najelastyczniejszą materyą w świecie: dziś nie możesz niem objąć kretowiny, jutro okryjesz górę. *Bulwer.*

Psy gończe szczekają tem głośniej, im zwierzyna biegnie od nich dalej. *Shakespeare.*

Istnieje jedna tylko moralność, a jest nią prawda, jedno tylko zepsucie, a jest niem kłamstwo. *Feuchtersleben.*

Kłamstwo jest dla niewolników, wolnym przystoi prawda. *Montaigne.*

Doświadczenie uczy, że, jak zwykle tego trzewik najbardziej uciska, czyją piękną nogę wszyscy chwalą, podobnie wielu ludzi najwięcej cierpi przez to, czego im inni najbardziej zazdroszczą. *Eötvös.*

Rozum miłości jest bez rozumu. *Shakespeare.*

Miłość jest zajęciem próżniaków albo próżniactwem zajętych. *Bulwer.*

Lepiej jest mieszkać w załamku dachu, niż w domu swarliwej kobiety. *Biblia.*

Niema takiej prawdy, którąby dla ciemnego umysłu nie była kamieniem obrazy *Vauvenargues.*

Nietylko wypowiadanie i szerzenie prawdy, ale nawet myślenie i wynajdywanie jej starają się uczynić niemożliwem przez to, że w najwcześniejszem dzieciństwie dają do obrobienia głowy księżom. *Schopenhauer.*

O przeklęci idealiści! w waszych teoryach niema nic rzeczywistego, prócz krwi, którą za nie przelewacie. *Hamerling.*

Nie może nic gorszego spotkać człowieka, jak pochwała łotra. *Schumann.*

Natura ma zawsze słuszność i właśnie największą tam, gdzie my ją najmniej pojmujemy. *Goethe.*

Zabijcie sumienie, bo jest to największy nieprzyjaciel każdego, kto chce osiągnąć szczęście. *Mirabeau.*

(D. n.).

dnokrotnie w ciągu długiej karyery swojej zdawał się przechylać na stronę pojęć radykalnych.

Inaczej Jeż. To prawdziwy bojownik postępu. Pod względem politycznym nigdy nie zmieniał barwy, a w utworach tendencyjnych najżywotniejsze kwestye współczesne rozwiązuje w tym samym, co i młode pokolenie duchu.

Wspomniawszy o warunkach nieprzyjaznych dla poezyi lirycznej w czasach ostatnich, p. K. powiada, że miejsce jej — jak zresztą wszędzie — zajęły: powieść i nowela, na których nowy okres odcisnął swe piętno. Podczas kiedy dawniej ich wątek snuł się na wsi i pomiędzy bohaterami rodu szlacheckiego, w powieściach po r. 1863 sceną działania prawie zawsze jest miasto, przeważa żywioł mieszczański, a bohaterem — inżenier. Czasem zdarzają się i lekarze, uczeni, literaci, ale inżenier zawsze ma pierwszeństwo. Prócz tego przedstawiane w nich są nieraz starcia pomiędzy sferami arystokratycznemi i bogatemi z jednej, a mieszczańskiemi i niezamożnemi z drugiej strony — i przyznane zwycięstwo drugim. Po raz pierwszy też wprowadzeni zostają tu na arenę literacką żydzi. Wszelako, co dzieła te zyskały na podniosłości i prawdziwości tendencyi, to straciły na artystyczności wykończenia. Albowiem nowa generacya beletrystów polskich w straszny sposób zaczęła zaniedbywać formę (!). Tendencya stanęła u nich po nad wszystkiem i pochłonęła wszystko. Ona przedwcześnie opaliła skrzydła Michałowi Bałuckiemu, który wszelkie (!) posiadał dane, żeby stać się polskim Balzakiem, który wielką i wspaniałą (!) miał fantazyę i który w samej rzeczy stworzył kilka prawdziwie polskich i poetycznych charakterów; ona też więzami swymi skrępowała Henryka Sienkiewicza, jednego z najbardziej utalentowanych młodych pisarzów polskich. (Zdaje się, że p. K. obu tych autorów albo wcale, albo dobrze nie zna).

„Rozglądając się w romansopisarstwie polskiem, powiada dosłownie autor, wyjątku w tej mierze nie napotykamy *(sic)*. I jakże możliwem jest wyższe, szczere, pełne myśli i zgodne z prawidłami sztuki wykonanie tam, gdzie wszystko wyłącznie służy i hołduje interesowi chwili? W Polsce, rzec można, powstała beletrystyka utylitarna, która w usługach idej cywilizacyjnych, przez „młodą Polskę“ szerzonych, wielką może mieć wartość i doniosłe znaczenie, która przecież mało bardzo ma wspólnego ze sztuką prawdziwą i poezyą (!).“

W dalszym ciągu uwydatnia ważną rolę, jaką w tej fazie piśmiennictwa naszego odegrały kobiety, chwaląc skwapliwość i przejęcie, z jakiemi brały udział w pracach i dążeniach „młodej Polski.“ „Cały szereg (!) autorek, od chwili rozpoczęcia walki, stoi w pierwszej linii bojowej, oręż wykształcenia i postępu stale kierując przeciwko przesądom i wadom narodowym. W szeregu tym najpierwsze bez zaprzeczenia miejsce zajmuje Eliza Orzeszkowa. Słusznie nazwano ją George Sand polską (nie słyszeliśmy o tem i chyba nie usłyszymy). Jeśli nawet ustępuje ona powieściopisarce francuskiej pod względem bogactwa umysłowego, za to przewyższa ją o wiele co do szlachetności charakteru i energii moralnej. W licznych pismach swoich zajmowała się wszystkiemi wielkiemi zagadnieniami wieku. Socyalizm i pauperyzm, kwestya żydowska i kobieca, ważne zagadki wychowania i cywilizacyi stoją w nich na pierwszym planie i rozpatrywane są w duchu na wskroś liberalnym. Do najbardziej udatnych prac jej należą romanse z życia żydowskiego, które ze szczególnem kreśli zamiłowaniem i wiernością. Prócz doskonałych opowieści Leopolda Komperta, literatury europejskie nie posiadają ani jednego (!) utworu, któryby można godnie postawić, obok opowiadań takich, jak *Eli Makower*, *Meir Ezofowicz*, *Silny Samson* i wiele innych. Forma też dzieł Orzeszkowej po większej części jest prawdziwie artystyczną, a tendencya nie przeszkadza jej zbytnio. Prawda, że każda powieść uczciwie-nowoczesna tendencyę mieć musi, zupełnie tak samo, jak każdy człowiek przyzwoity — chustkę do nosa. Ale i to prawda, że ani tendencya, ani chustka nie powinny nigdy być widoczne na pierwszy rzut oka.“

Do objawów charakterystycznych p. K. zalicza to, że Galicya, która pod względem politycznym i społecznym nietylko zachowywała się biernie, lecz wprost wrogo występowała przeciwko „młodej Polsce“ i nowemu jej kierunkowi, dostarczyła jednak beletrystyce pozytywistycznej kilku wybitniejszych przedstawicieli. Jako takich (!) cytuje Lama, który z wielką zręcznością i bystrością humorystyczną chłostał zepsucie obyczajów społeczeństwa galicyjskiego i Zacharyasiewicza, idealnego realistę w powieściopisarstwie.

Dla zaokrąglenia zarysu dziejów nowej szkoły autor zlekka wzmiankuje jeszcze o utworach dramatycznych, którym ona dała początek. W zakończeniu zaś podaje kilka uwag ogólnych. „Ruch ten—mówi—osiągnął i zdobył nierównie więcej, niż „młode Niemcy,“ jakkolwiek i jeden i drugi wywołały jednakowe burze i siły, jakkolwiek w każdym z nich to samo wrzenie i ten sam mrok zachęcały młodych burzycieli do strącenia z ołtarzy bogów i bożków. Ale „młoda Polska“ miała cele jaśniejsze i do większych doszła rezultatów. Otworzyła ona ojczyznę swoją postępowi cywilizacyjnemu wieku naszego i do dziedziny nowoczesnej myśli ludzkiej piękną wprowadziła krainę. Na miejscu ciasnego poglądu narodowego postawiła humanitarne idee nowożytne i na zawsze wzięła rozbrat ze zmurszałemi tradycyami. Swobodnemu duchowi prawdy dopomogła do zwycięstwa, a wielkie społeczne zagadnienia teraźniejszości uczyniła dostępnemi i dla rodaków swoich. Piśmiennictwu nowe utorowała drogi, wytknęła cele nowe, dostarczyła nowych pytań i myśli. To są zasługi, wobec których znikną prędko wady jej i uchybienia, błędy i zboczenia.“

„Oprócz prądów głównych, poprzez literaturę dziewiętnastego stulecia ciągną inne, poboczne, które, lubo mniej ważne, również są charakterystyczne a w właściwem pojęciu niezbędne do zrozumienia całości. Za jeden z takich prądów pobocznych uważam „młodą Polskę“ i dlatego sądzę, że, skreśliwszy bezstronny zarys jej rozwoju, podałem przez to pożądany przyczynek do historyi literatury powszechnej.“

Nie wykazujemy szczegółowo pomyłek autora, bo głos nasz do tej literatury, której językiem on przemówił, nie dojdzie. Nasi zaś czytelnicy i pominięcie w obrazie wpływu Szkoły Głównej, i owe zaniedbanie formy przez pisarzów młodych, którzy ją podnieśli bardzo wysoko, i niezauważanie wielu znakomitych talentów (np. Konopnickiej), i inne, niestety, bardzo liczne błędy lub niedokładności sami sprostują.

A. J. Cohn.

KRADZIEŻ I ANTISEMITYZM *).

W ostatnim numerze *Prawdy* dr. Gumplowicz, profesor uniwersytetu w Grazu i autor kilku poważnych i gruntownych prac z dziedziny prawa publicznego, przedstawił pogląd swój na istotę antisemityzmu. O ile ciekawy byłem poznać zdanie w tej, bądź co bądź, ważnej kwestyi tak jasno patrzącego na zjawiska społeczne uczonego, o tyle zdziwiony zostałem po przeczytaniu artykułu. Zamiast gruntownego i trzeźwego poglądu, spotkałem w nim nieopartą na faktach i niezbyt konsekwentnie przeprowadzoną teoryjkę, zamiast przedmiotowego traktowania rzeczy — obelgę.

Dr. G. uważa antisemityzm za objaw pokrewny z komunizmem i socyalizmem, przypisując im wspólne źródło: naturalną dążność do zamaskowania rabunku i kradzieży pewnemi politycznemi lub filozoficznemi doktrynami. Wogóle dla autora niema w całych dziejach ludzkości innej pobudki czynów ludzkich, tylko chęć wzbogacenia się „*cudzem* mieniem.“ Nietylko antisemityzm, nietylko komunizm i socyalizm, ale i wszystkie inne hasła, pod których wezwaniem walczyły ludy lub stronnictwa, są tylko „płaszczykami,“ pokrywającymi złodziejskie popędy.

Jeżeli w teoryi tej chciał dr. G. wypowiedzieć słuszne zresztą zdanie, że czynnik ekonomiczny, potrzeba materyalna kryje się na dnie wszelkiego ruchu społecznego, wszelkiej, choćby pozornie najidealniejszej doktryny, to przyznać trzeba, że myśl swą wypowiedział w sposób wysoce nieodpowiadający istocie rzeczy i tym pojęciom, jakie się łączą z wyrażeniami: grabież, rabunek itp. Że całe dzieje ludzkości są jednym ciągiem walki grup społecznych dla uzyskania przewagi jednej z nich nad innemi—to prawda; że wszelkie ruchy w łonie społeczeństwa zawsze dążyły do zdobycia przez pewną klasę społeczną panowania nad innemi — to także do pewnego stopnia prawda; ale żeby ta przewaga, to panowanie miały być identyczne z zagrabieniem *cudzego mienia*, z pragnieniem wydarcia bliźniemu jego kęsa chleba, jego odzieży i dachu, to już co najmniej — nie prawda. Czy niewolnik, zrywający łańcuch, którym go ongi przemoc do taczki przykuła, okrada swego pana, czy niema on i nie może mieć nic innego na celu, jak wydarcie mu bogactw, których zresztą sam jest twórcą? Czy owi rzymscy plebejusze, uciekając przed zdzierstwem i nielitościwym wyzyskiem patrycyuszów na górę świętą, żeby tam własną pracą wytworzyć sobie znośniejsze istnienie, mogą być uznani za targających się na cudze mienie? Nawet tak przesadzone poszanowanie, jakie zawsze wyraża dr. G. dla istniejącego stanu rzeczy, nie upoważnia do podobnego łączenia pojęć.

Lecz choć byśmy nawet przyjęli powyższe wyjaśnienie teoryi d-ra G., nie da się ona zastosować do komunizmu i socyalizmu. Ani jeden, ani drugi z tych nie może być uważany za płaszczyk, pokrywający ekonomiczne dążności, bo oba jawnie i otwarcie przyznają się, że reforma ekonomiczna jest właśnie ich celem. Tu już słowom d-ra G. przydawać musimy znaczenie bardziej literalne, musimy uznać, że ma on na myśli faktyczne *zamaskowanie* doktryną filozoficzną dążności do wzbogacenia się cudzym kosztem. Wypowiada to zresztą autor wyraźnie, mówiąc, że „socyaliści doradzają eksperyment, przy którym *oni* nie mają nic do stracenia,“ i że jedynym wynikiem takiego doświadczenia byłoby to tylko, iż „na miejsce *niektórych* dzisiaj posiadających wstąpiliby *niektórzy* szczęśliwi eksperymentatorowie.“ Czyli innemi słowy, że dążeniem owych eksperymentatorów (zatem socyalistów) jest przywłaszczenie mienia niektórych dziś posiadających.

Dla zbicia tego wywodu nie mogę znaleść lepszego argumentu nad własne słowa d-ra G. z jego dzieła *Rechtsstaat und Socialismus*, do którego sam w przypisku odsyła czytelników. Przyznaje tam, że oba te systematy są doktrynami czysto teoretycznemi, fantazyjnemi, że należą właściwie do dziejów literatury a nie zjawisk społecznych. „Historya komunizmu i socyali-

*) Dalszy ciąg dyskusyi.

zmu jest stale w pierwszej swej części historyą literatury i lubo musi być uzupełniona, wykazaniem różnych prób i chwilowych wybuchów namiętności, to przecież te, po większej części bardzo naiwne i fantastyczne eksperymenty można uważać jedynie za ilustracyę owej historyi literatury" (str. 275). Jest więc komunizm i socyalizm wyłącznie dziełem myśli pewnej liczby teoretycznych, idealnych marzycieli. Im więc tylko przypisać można owe zaznaczone w artykule złodziejskie popędy. Albo oni sami pożądali cudzego mienia, albo chcieli popierać i usprawiedliwiać rabusiów i złodziei. Zobaczmy, co o nich znajdujemy w dziele d-ra G. I tak (str. 276) czytamy w paragrafie dotyczącym Morellego: „Trzeba jednak na korzyść pierwszych komunistycznych autorów przyznać, iż ich napady na własność pochodziły z błędnego mniemania, że ona jest winną różnorodnych potrzeb i nędzy życia ludzkiego." Kilka wierszy dalej: „Pobudki i punkt wyjścia Morellego nie dadzą się bezwarunkowo potępić; popadł on tylko w błąd." Mówiąc o Mablym (str. 278) zaznacza autor, że w czasie upadającego feodalizmu, „wyróżniające się umysły, do których Mably bez wątpienia należy," oskarżały instytucyę własności jako przyczynę głębokiego zepsucia czasu. I dalsi komuniści nie są uważani w cytowanem dziele inaczej jak za zbłąkanych marzycieli. „Po bezowocnych majaczeniach St. Simona, po zupełnie nic nieznaczących fantazyach komunistycznych Owena i Fourriera, pierzcha z Cabeto'wską *Podróżą do Ikaryi* komuninizm do sfery, do której jedynie należy — do państwa poezyi" (str. 292).

Bardzo wysoko stawia dr. G. Proudhona (str. 292 i nast.). Zanalizował on kwestyę własności z wielką trafnością i silną logiką (gewaltige Logik). Błądził, ale jest to naturalny wynik słabości sił duchowych jednostki, który należy wybaczyć. Na pobłażliwość zasłużył Proudhon tembardziej, że sprostował z wielkim talentem i prawdą wiele błędów i wyjaśnił niejedną trudną kwestyę ekonomiczną. Większe jeszcze uznanie zyskał sobie Marx (str. 398 i nast.). „Talent naukowy pierwszorzędny, twórczość naukowa niezrównana, umysł głęboko wnikający w ukryte tajniki rzeczywistego życia, a pomimo to tak słaby opór względem nęcących błędnych ogników, ideałów komunistycznych i socyalistycznych" — woła nad nim dr. G. Nie dosyć tego; nawet socyaliści katedry: Wagner i Samters uznani zostali za poważnych uczonych, chociaż dr. G. artykuł swój w *Prawdzie* zakończył ubolewaniem, „że w ojczyźnie Kanta *uczone półgłówki* łatają i łatają płaszczyki doktryn i teoryj dla tych niedorzecznych dzisiaj dążności i z godnym lepszej sprawy zapałem uprawiają i głoszą *Kathedersocialismus* i „practisches Christenthum."

Jak więc widzimy w poważnem swem dziele dr. G., zbijając słusznie błędy komunistów i socyalistów, przyznaje im obok tego dobrą wiarę, nieraz wysokie naukowe zdolności i zasługi. O płaszczykach, o tkwiącej na dnie ich nauk dążności do ograbiania innych nie ma tam ani słowa.

Czy istnieje istotnie związek antisemityzmu z komunizmem i socyalizmem? Sądzę, że dopatrzyć go można jedynie o tyle, o ile zgodzimy się w całości na teoryjkę d-ra G. i uznamy wszystkie trzy zjawiska za płaszczyk kradzieży. Komunizm i socyalizm — to *teorye*, mające na celu zmienić ustrój społeczny, znieść pewne instytucye, ale nieznające ludzi, plemion, ani narodów *). Pragną one znieść własność, obezwładnić kapitał, zabić konkurencyę, ale nie obchodzi ich wcale, kto posiada tę własność i kapitał, kto jest silniejszy w walce o byt. Antisemityzm przeciwnie, nie jest teoryą, nie proponuje żadnych(? *R.*)reform w ustroju społecznym. Jest on jedynie wyrazem niechęci jednego plemienia względem drugiego, jednej cywilizacyi względem drugiej. Komunizm i socyalizm są dziećmi nowego ustroju społecznego, datującego się od drugiej połowy (? *Red.*) zeszłego wieku, antisemityzm — objawem, który ma mnóstwo podobnych w odległej przeszłości. Dr. G. chciał wywrzeć na antisemityzmie swój gniew; dla powagi musiał podszyć swe oburzenie jakąś teoryą i to tylko może usprawiedliwić złączenie go w jedną kategoryę z komunizmem i socyalizmem.

Cięgi tej nowej teoryi dostały się komunizmowi i socyalizmowi z lekka, pod osłonami. Za to z antisemityzmem obszedł się dr. G. bez litości. Ma on cel „ale tak nıski i drobnostkowy, że chyba *najnikczemniejszym osobnikom* starczy za pobudkę działania." „Zrzeka się urzeczywistnienia ideałów komunizmu i socyalizmu, zadawala się natomiast *złupieniem kilku żydów*. Rzuca się na jedną z klas społecznych, „która nie posiada sympatyi innych, *aby kraść i łupić*." W odpowiedzi na to grzeczne określenie antisemityzmu zapytam: jakim sposobem mógł tenże *zrzekać się* ideałów, których nigdy nie miał? Ideałem jego bowiem mogłoby być w najlepszym razie wypędzenie żydów. Dr. G. sam stworzył związek antisemityzmu z komunizmem i socyalizmem, a teraz zarzuca mu, że jest czem innem. Zapytam dalej: czem dowodzi dr. G., że antisemityzm rzuca się na jedną klasę społeczną, „aby kraść i łupić," a nie dla czego innego — np. że klasa ta „nie posiada sympatyi," t. j. że ma pewne dane, które ją czynią niesympatyczną dla klas innych? Że podczas zaburzeń antisemickich pewna, może nawet znaczna część kradła, korzystając ze sposobności, że jeden i drugi oszust, będący obok tego antisemitą, poszedł do kryminału, to jeszcze nie dowód, że celem antisemityzmu jest kradzież, ta bowiem jest kosmopolityczną i bezwyznaniową. Mnie się zdaje, że nauka poważna powinna badać i wyjaśniać te właśnie zjawiska, które są niezrozumiałe i zagadkowe, a nie konstatować jasne i proste. Że złodziej kradnie i że korzysta z tumultu ulicznego, że oszust woli podszyć się pod jakąś ideję, niż przyznać się do winy — to nic dziwnego. Ale, że klasy społeczne nie mają sympatyi do jednej z nich, że tłumy wolą niszczyć mienie tej klasy, niż je kraść, to zasługuje na baczniejszą uwagę. Nie ten wyjaśnia antisemityzm, kto oznajmia, że antisemici „kradną i łupią" klasę, niemającą sympatyi, ale ten, kto stara się odpowiedzieć na pytanie: dlaczego klasa ta nie posiada sympatyi? Bez tego opinia o antysemityzmie będzie albo wyrażeniem osobistej ku niemu sympatyi lub niechęci, albo paszkwilem, siejącym fałsz pod pozorem naukowej teoryi.

Nikt, prócz małej liczby półgłówków i Don Kichotów, nie będzie apostołował antisemityzmu, ale każdy musi go uznawać, *bo istnieje*. Każdy również nieuprzedzony przyznać musi, że nie powołała go do życia banda złodziejów, żeby kraść pod jego cieniem, ale pewne rzeczywiste przyczyny. Zbadać te przyczyny, wykazać je i na nie oddziaływać jest zadaniem tych, którzy w sprawie tej głos zabierać pragną. Taki charakter miały dwa głosy o antisemityzmie, poprzedzające w *Prawdzie* artykuł d-ra G. Ten ostatni rozminął się ze swym celem. Każdy nieuprzedzony antisemita, czy nieantisemita, każdy, umiejący sprawiedliwie oceniać zjawiska społeczne, nie mógł w nim widzieć nic, prócz subjektywnego poglądu autora. Niejeden wszakże mniej uważny mógł się dać unieść teoretycznej podszewce artykułu. Tych trzeba wywieść z błędu i w tym też celu piszę te słowa.

Karol Dunin.

---

*) W tym punkcie rozchodzimy się stanowczo z autorem. Naprzód socyalizm i komunizm nie są jedynie „teoryami," powtóre żydzi przedstawiają dziś wszędzie a w niektórych krajach przeważnie tę skałę kapitalizmu, na którą socyalistyczne fale głównie uderzają, potrzecie niejednokrotnie socyaliści praktyczni dla łatwiejszego wzburzenia mas przepuszczali przez nie prądy antisemickie. Nie przeczymy, że na antisemityzm składają się inne czynniki (wskazaliśmy je w naszym artykule), ale to pewna, że *dziś* ekonomiczny, a więc ten sam, co i w ruchu socyalistycznym, stanowi sprężynę główną. *Red.*

SPOŁECZNE KIERUNKI W TEORYI I W ŻYCIU.

VII.

Pozostaje mi jeszcze dotknąć dwu zarzutów p. Limanowskiego. Pierwszy z nich odnosi się do tego, że ustrój społeczny, wskazany przez Comte'a, może zabić w masach samodzielność i doprowadzić do despotyzmu. Gdyby p. L. wywodów pozytywnych nie pomijał, nie uczyniłby tego. Widzieliśmy, jak Comte wciąż ma na widoku to, aby wszystkim pracownikom społecznym zapewnić zupełną niezależność i umożebnić samodzielność, że dlatego nie przyjmuje kolektywistycznych urządzeń, iż te robią z jednostki kółko w zupełności zależne od ruchu całości. W sprawie stosunku mas do władzy politycznej nie mogę tu zajmować się szczegółowem wyświetlaniem prawdziwego stanu kwestyi; powiem tylko, że zbadawszy rdzeń rzeczy, widzimy, iż teorya Comte'a nie pozbawia nikogo praw, lecz tylko w pewien sposób organizuje spełnianie funkcyj społecznych. Kontrola, powierzona proletaryatowi, nietylko jest odpowiedniejszą (jedynie odpowiednią) formą wpływu mas na sprawy publiczne, ale także go rozszerza, robi istotnym. Dla powierzchownego choć wyjaśnienia rzeczy przytoczę zdanie Hoche'a, dotykające pod przenośnią politycznych urządzeń: „żołnierz nie może wybierać sobie generałów, ale może ich ocenić po przeprowadzonej kampanii."

Druga kwestya jest bardzo pokrewna poprzedzającej, oddzielam ją jednak, bo styka się z przedmiotem o wiele ważniejszym. P. Limanowski mówi, że Comte nie ocenił należycie dążenia dziejowego do równości i gdyby dziś żył, zachowałby się inaczej, bo widziałby, „że powszechne głosowanie stało się w całej Europie hasłem robotniczej klasy, która przez nie dąży świadomie do uzyskania stanowiska i wpływu politycznego. Kto się rachuje z rzeczywistością, a pozytywista powinien przedewszystkiem z nią się rachować, nie może wznosić takiej budowy społecznej, która by sprzeciwiała się pragnieniom, dążeniom i już pewnym nabytkom klasy najliczniejszej i wzrastającej w coraz większą potęgę."

Nie mogę powiedzieć, aby zarzut ten udał się naszemu krytykowi lepiej, niż inne. Gdyby pozytywizm poszedł za radą p. L. popełniłby niekonsekwencyę. W najpierwszych swych wystąpieniach i pomysłach społecznych Comte był już przeciwnikiem rządów, opartych na żądaniach większości. Już w pierwszej lekcyi, pierwszego tomu jego *Filozofii*, znaleźć możemy dowody, że uważał za szkodliwy obłęd metafizyki szukanie prawdy w głosie tłumów i cały jego system zbudowany jest w tym celu, aby dać inną zasadę do kierowania sprawami publicznemi, niż jakiekolwiekbądź kreski. Uwaga więc p. L. chybia zupełnie celu.

Wskutek wymagań rzeczywistości i rozwoju pozytywnych pojęć, głosowanie po-

wszechne utraciło nieco swój pierwotny charakter, ale przy powstaniu swem miało ono wyrażać rodzaj głosu bożego. Prawowierni wykonawcy testamentu 1789 roku domagają się wciąż, aby lud był jedyną kompetentną instancyą w sprawach polityki zagranicznej, programów szkolnych, finansów, prawodawstwa i budowy dróg i mostów. Pomimo oczywistości, że człowiek, co całe życie szył buty, lub uprawiał ziemię, nie może wiedzieć nawet, co to jest Tonkin, lub wiwisekcya itp., radykalni demokraci wciąż twierdzą, że razem zebrani tacy ludzie posiadają wszelkie potrzebne kwalifikacye (inna jest rzecz kontrola i to po odebraniu wyższego pozytywnego wykształcenia). Czy mógł Comte popierać „pewne nabytki najliczniejszej i wrastającej w coraz to większą potęgę klasy,“ kiedy chce, aby w socyologii zasady były tak dowiedzione, jak twierdzenia w geometryi, a polityka — sztuka, żeby była stosowaniem tych zasad, jak architektura jest stosowaniem matematyki? Dla pozytywizmu dążenie do ludowładztwa jest taką samą niedorzecznością, jak zapytywanie powszechnego głosowania, czy rzeczywiście dostawa w kącie prostym równa się zeru, lub powierzanie budowy jakiejś świątyni komisyi, złożonej z poetów i śpiewaków.

Jeżeli usuniemy wpływ wrażenia, że ideały demokratyczne*) wypierały i wypierają inne o wiele mniej sympatyczne, to okaże się, że ochrypnięte już dziś tyrady o woli ludu są jednym z najbardziej typowych owoców romantyzmu metafizycznego. Szukanie wskazówek dla rozwoju społecznego w głosach masy jest niekonsekwencyą w zasadzie i ciągnie najfatalniejsze niekonsekwencye w skutkach.

Ludzie, wolni od teologicznych pojęć, zachowują się względem „prostaczków,“ jak gdyby wierzyli, że duch święty zstępuje tam, gdzie się zbiera wiele niewiadomości. Tworzą teorye, jak gdyby przypuszczali, że bóstwo jakieś złożyło przed wiekami w łono ludzkości ziarna prawdy i te zejść mają jak bujne drzewa nowego objawienia na dziewiczej glebie przetrawionych nędzą serc.

Jest to ironia z wiekowej pracy ludzkości, szyderstwo z bezsennych nocy i wieloletnich dumań gieniuszów nad zdobyciem jednego promyka wiedzy, jest to bluźnierstwo przeciw prawdzie.

Fałszywe założenie dobrych owoców porodzić nie może. Kierując się wolą masy, w ogromnej większości wypadków, usunąwszy nawet za pomocą sofizmatów karczmę, dojść można tylko do koronowania świętych obrazów. Rozpoczyna się więc gra pomimowoli obłudna, grzmią hymny pochwalne woli ludu, a gwałci się ją co krok. Fundamenty okazują się złudzeniem, a grunt zajmują wstecznicy.

Polityk-praktyk musi się liczyć z wszelkiemi dążeniami i wadami otoczenia, jak budowniczy z wyszczerbionym kamieniem, lub z opóźnionym wysłaniem pieniędzy; ale czy powinien tak robić teoretyk? Widziano już nieraz chorobliwe objawy gorączkowych pogoni za marami; czy na tem ma filozof opierać swe wywody, a nie na prawdach, które znajduje w nauce?

My, nie mniej od innych, strzedz się winniśmy pięknych omamień romantyzmu, bo już nie raz odebraliśmy krwawe lekcye. W czwartym, piątym, szóstym (32—62) dziesiątku bieżącego stulecia pod tchnieniem zachodnich prądów Rousseau'nizmu powstała nasza demokracya. Tyle chęci, tyle nauki, tyle poświęcenia! Czy przyniosło odpowiednią ilość owoców? Nie, bo zasada była fałszywą u źródła, bo marzono o wcielaniu ideałów, *tkwiących w masach*, zidealizowano lud, nie zrozumiano go, przerachowano się na nim*). Weźmy rolę naszych agitatorów wobec rzezi Tarnowskiej, Sołowijówki. Szli do chłopa, jak do świątyni czystości i prawdy, a ten posłuchał głosu zemsty, podszepniętej przez szatański duch praktycznego Meternicha, i wystąpił jak kat. Dembowski w *Dzienniku urzędowym Rzeczypospolitej Krakowsk.* w 48 roku wołał, że w ludzie znajdą towarzysze jego odgłos i gotowych współwyznawców, bo „społeczna rewolucya, to apoteoza ludu.“

Potem wiatr się zmienił i powiał ze wschodu, znowu ten sam wpływ. Znowu szukanie jakichś zatraconych ideałów pod szarą sukmaną w walącej się chacie. Teraz już niekonsekwencya razi więcej. Socyalizm dał formuły określone, a nie mglawe hasła. Czegóż trzeba więcej? Ci, co w filozofii starają się trzymać ostatniego krańca materyalizmu i twierdzą, że nauka wskazała im drogę prawdy, w społecznych marzeniach przypuszczają cuda. I narodnicy i narodolubcy głoszą, iż walczą za *ideały ludu*. Prąd ten obalamucił świadomie może tylko pewne cząstki naszej młodzieży, ale istotnie rozlał się dosyć szeroko. Widać to nietylko w broszurach rewolucyjnych, ale w najzwyklejszych nieraz artykułach literackich: przypomnę tylko żądanie ludowego pośrednictwa w sprawach języka nawet. Kiedy po śmierci Gambetty pospieszyłem złożyć publicznie cześć dla zasłużonego ojczyźnie patryoty, odebrałem ostrą naganę z tej racyi, że... robotnicy nie wzięli udziału w pogrzebie (co zresztą nie było prawdą). Jak często zdarza się słyszeć potępienie historycznych zdarzeń dlatego, że te nie zdołały uzyskać zgody mas. „Nie szli widać prostą drogą, kiedy lud nie ruszył za niemi.“ „Żądajmy tylko prawdy i sprawiedliwości, a chłop będzie z nami, jeżeli nie zrozumie, to odczuje.“

Ktoś może pomyśli, że nie mam zupełnie miłości dla ludu, a w słowach moich zobaczy wzgardę dla niego. Zarzut ten przypuszczam, ale —jakkolwiek byłby bolesny dla mnie — zdania zmienić nie mogę. Powiem więcej. Gdybym w sercu żywił jedno tylko uczucie, żadnych ideałów więcej, tylko wyłącznie miłość ludu, to jeszcze toż samo powiedzieć bym musiał. Lud tracił tylko na apoteozie. Cośmy zyskali pod względem poznania stanu mas chłopskich z tego, że płomienie bezgranicznej miłości gorzały całe lat dziesiątki, żeśmy wychylili tyle kielichów gorzkich zawodów? Nie wiele, bo na co było badać szczegóły, popędy, charakter, kiedy z góry znano jego potrzeby i „rozumiano istotę jego natury.“ Wróćmy do tej samej rzezi, jest to fakt niezmiernie doniosły i dokładne zanalizowanie jego przyczyn i przejawów mogłoby być bardzo pouczające, mogłoby wiele bardzo powiedzieć. Czynów ludu mamy tak mało, tymczasem dotąd przeważnie jedni bronili swoich ideałów, drudzy je potępiali itd.

Mamy niezmiernie trudne obowiązki względem ludu, wynikające z zasad ogólnie społecznych, i te spełniajmy, ale nie można szukać ideałów tam, gdzie ich znaleźć niepodobna. Czy może być coś fatalniejszego dla społeczeństwa, jak takie fałszywe założenie, z którego wszelka działalność całego pokolenia ma wynikać. Dlatego uważam za obowiązek wszystkich, co widzą rzeczy wyraźnie, protestować nieustannie przeciwko podobnym złudzeniom i powtarzać, dowodzić ciągle, że przewodnikiem, kierownikiem w życiu winna być nauka, tylko nauka i zawsze tylko *nauka***).

L. Straszewicz.

*) Używam tego wyrażenia zawsze w znaczeniu pewnej określonej społeczno-politycznej teoryi, a nie w znaczeniu uczuć anti-arystokratycznych.

*) Tych twierdzeń autora bez zastrzeżenia przyjąć nie możemy *Red.*

**) Dzieła Comte'a okrzyczane zostały, jako niedostępne dla szerszego ogółu z powodu swego zawikłanego stylu, trudności itd. Jest to niezupełnie słuszne. Comte nie urozmaica swego wykładu anegdotkami, opisami rozmów itp. Każde jego zdanie zawiera myśl. To też czytanie go nużą, ale sprawia przyjemność niezmierną. Jest on wolny zupełnie od mglistości niemieckich filozofów, z których każdy coś zrozumie i każdy inaczej, a nikt dokładnie. Hegla rozumiał jeden tylko człowiek, ale Hegel utrzymywał, że ten człowiek źle go rozumiał. Comte — według wyrażenia Laffitta — jest jak rachunek całkowy, albo go się nie rozumie wcale, albo go się rozumie zupełnie. Całość socyalnego pomysłu zawartą jest w *Système de la politique positive* i to dzieło zalecane jest zwykle przez uczniów do czytania. Ma ono jednak wadę, że w wykładanych przedmiotach nie posiada należytego usystematyzowania. Sam Comte mówi, że gdy mu myśli przyszły, to od przedmiotu odbiegał. Wielką wskutek tego przedstawiają wartość popularyzacye uczniów, które rozrzucone pomysły mistrza w tym samym przedmiocie grupują w odpowiednie całości. Szczególnie cenne są pod tym względem wykłady Laffitta. W przedmiocie przezemnie omawianym istnieje broszura p. t. *Le positivisme et l' Economie politique.* Broszurą tą posługiwałem się przy streszczaniu ekonomicznych poglądów szkoły i z niej poczerpałem cytaty słów Laffitta. Bardzo być może, że niedługo wyjdą jego wykłady statyki i dynamiki socyalnej, miane roku zeszłego i bieżącego w sali Gersona w Paryżu.

Zwracam także uwagę możliwych amatorów czytania Comte'a, że należy opuszczać przedmowy (listy Comte'a do różnych osób) i poznać się z niemi dopiero po należytem zrozumieniu całej teoryi.

Z FRANCYI.

Paryż, 22 października.

(Wystawa).

Jednym z pierwszych objawów rozpoczynającego się po chwilowej ciszy ruchu jest otwarcie wystawy sztuk pięknych w Pałacu przemysłu. Wiadomo powszechnie, że artyści paryscy z wiosną każdego roku pokazują publiczności ostatnie swe prace. Jest to t. z. *Salon* — instytucya bardzo popularna i niezmiernie dawna, gdyż sięgająca czasów Ludwika XIV. Było to rzeczą najzupełniej naturalną i zrozumiałą, iż rząd, a raczej dwór, opiekował się wówczas jej urządzeniem. W owej epoce sztuki piękne mogły być cenione zaledwie przez szczupłą garstkę wybranych, zawieszonych u klamki królewskiej. Wszakże z biegiem czasu, ze wzrostem dobrobytu ogółu, z podniesieniem się poziomu umysłowego a w szczególności z rozwinięciem smaku estetycznego w masach mieszczaństwa opieka rządowa okazała się zbyteczną i zwykłym porządkiem stanęła na przeszkodzie normalnemu rozwojowi sztuki. Wszędzie zwróconoby na to oddawna uwagę; lecz we Francyi, gdzie każdy obywatel, pomimo wybujałych pojęć o wolności, wszelkiej inicyatywy wyczekuje od rządu, rzeczy szły tą koleją aż do ostatnich czasów. *Jury* Salonu, złożone przeważnie z profesorów Szkoły sztuk pięknych, członków Akademii i Rady wyższej departamentu tegoż imienia, najstaranniej usuwało z wystawy wszelkie płótna, któreby mogły rzucić cień na dawne powagi śmiałością układu lub wyróżniającem się wykończeniem, Młody, oryginalny talent musiał posiadać niezwykły hart, ażeby oprzeć się temu systematycznemu prześladowaniu. Przeciwnie zaczęto przyjmować na wystawę, drogą protekcyi, niezmierną ilość najnędzniejszych robót. Zdarzały się wypadki, że jakiś bohomaz, sąsiadujący przez sześć tygodni z utworem pierwszorzędnego artysty, zaledwie znajdował nabywcę za cenę 10 fr. po opuszczeniu sal. W r. 1880 liczba wystawionych dzieł wzrosła do 7,200. Pojmujecie, ile tam było kąkolu! W tym labiryncie mierności i lichoty gdzieniegdzie ukrywały się tylko utwory prawdziwego talentu. To też kilku najznakomitszych ar-

tystów, unikając obrażającego towarzystwa, przestało brać udział w wystawie. Instytucya chybiła celu i kłoniła się ku upadkowi.

Poważniejsi krytycy i znawcy, zastanawiając się nad tym stanem rzeczy, przyszli do wniosku, że najrozumniejszym i najprostszym środkiem, którvby podniósł znaczenie estetyczne Salonu, byłoby uwolnienie go z pod opieki rządowej. Jakoż jeden z liberalniejszych ministrów (Bardoux), zrzekł się tej części władzy. Od owej chwili wybór *jury* zależy jedynie od artystów, przyjmujących udział w wystawie. Oni też tylko przyznają medale i nagrody. Rząd wypożycza bezpłatnie sale; koszta zaś urządzenia wystawy pokrywają się z dochodu za bilety wejścia. Ogół przyklasnął tej zmianie. Spodziewano się niemal odrodzenia sztuki francuskiej. Niestety, zle zaszło za daleko. Protekcyę zastąpiło koleżeństwo, i znown majowa wystawa zapycha się po dawnemu przeważnie utworami lichymi.

Wszakże minister, wyzwoliwszy sztukę z więzów, zastrzegł był sobie prawo urządzania od czasu do czasu wystaw znakomitych dzieł sztuki, wykonanych w przeciągu pewnego okresu. Przyjmowanie ma się odbywać na dawnych, lecz nierównie bardziej obostrzonych warunkach. Mianowicie zmniejszono znacznie liczbę utworów, mogących brać udział.

Pierwsza podobna wystawa odbyć się miała w r. 1881; nie przyszła wszakże wówczas do skutku z powodu nieprzewidzianych zawad. Otworzono ją dopiero teraz, t. j. w dwa lata po pierwotnie oznaczonej dacie.

Mamy więc przed sobą zbiór doborowych prac, wykonanych od chwili wystawy powszechnej 1878, t. j. w ciągu pięciolecia. Pałac przemysłu przybrał od kilku tygodni świąteczne szaty. Olbrzymią, oszkloną nawę, która mieściła w r. 1856 oddział machin, zamieniono we wspaniały ogród jesienny. Po brzegach złocistych ulic poumieszczano na podstawach rzeźby, których marmury śnieżnej białości dziwnie pięknie odbijają na tle sutej zieleni. Galeryę, okalającą nawę, jak również wschody, przedsionki i przejścia przybrano w bogate gobeliny, przystrojono wazonami z porcelany serwskiej—dwie gałęzie sztuki, które stanowią tradycyonalny monopol rządu francuskiego. Sale pierwszego piętra głównego gmachu, przeznaczone dla obrazów, ustrojono ze szlachetnym gustem. Ponieważ liczbę utworów ograniczono do 750-u, nie ma więc skarg i narzekań na złe umieszczenie lub brak światła. Roje też publiczności swobodnie przesuwają się po przestronnych salach, odnajdując z łatwością szukane utwory.

Pierwsza od głównego wejścia, wielka, kwadratowa sala, przeznaczona dla płócien największych rozmiarów, mieści obecnie między innemi dzieło pierwszorzędnej wartości estetycznej. Jest nim obraz Brozika: *Jan Huss na soborze w Konstancyi* — największy ze znajdujących się na wystawie (6 metrów na 3). Artysta uwiecznił chwilę, poprzedzającą męczeńską śmierć reformatora czeskiego. Wyrok soboru zapadł w przeddzień. Zwołano uroczyste posiedzenie do katedry pod prezydencyą cesarza Zygmunta. Na pierwszym planie, prawie w środku, stoi Huss obok ołtarza, na którym umieszczono zdjęte z niego szaty kapłańskie. Śmiertelna bladość twarzy, wzniesionej nieco ku niebu, ruch prawej ręki ku piersiom—nadają jego postaci cechę pełną szlachetnej godności i mocy przekonań. Jesteście upewnieni, ze zniesie on spokojnie i odważnie karę śmierci, której wyrok czyta mu stojący na wzniesieniu biskup Madrytu. Na prawo od Hussa — jakiś pan czeski w głębokiej zadumie i smutku, rozlewającym się na jego ujmujących rysach słowiańskich. W głębi obrazu na tronie siedzi Zygmunt, rzucając pochmurne, ukośne wejrzenia. Każde słowo z pałających zemstą i nienawiścią ust biskupa Madrytu piecze go, przypominając mu wiarołomstwo. W stalach i na ławach kardynałowie, biskupi, opaci, członkowie soboru z różnemi wrażeniami na twarzy. Poważna cisza towarzyszy temu złowrogiemu obrzędowi, którym chylący się ku upadkowi kościół rozpoczął erę barbarzyńskich inkwizycyj.

Wykonanie odpowiada głębokości pomysłu i doskonałości kompozycyi. Artysta czeski umiał natchnąć życiem i różnemi uczuciami całą tę ciżbę biskupów i dworzan. Ciała namalowane znakomicie, bez tej przesady drobiazgów anatomicznych, która razi w pracach Matejki. Chyba naród czeski, tak dbały o swe pamiątki historyczne, a nie ktoś prywatny, nabędzie tę pomnikową pracę.

Poświęciliśmy jej uwagę szczegółowszą dlatego, że naprzód, zdaniem naszem, jest to najznakomitszy utwór ze znajdujących się na wystawie, a powtóre, że żaden z krytyków francuskich nie oddał mu należnego uznania. Poważniejsi zbyli go grzecznemi słówkami, sprawozdawcy zaś świstków brukowych, jak *Figaro* i inne, okrzyczeli, że obraz nie jest *moderne*. Wyrazem tym charakteryzuje się tu jednocześnie i pewna maniera w wykonaniu i sam wybór tematu. Zdaje nam się wszakże, że szowinizm narodowy grał tu wielką rolę. Francuzi nie chcą przyznać obcemu wyższości, choćby nawet artystycznej.

Wracając do owego *moderne*, które dziennikarze paryscy uważają za rodzaj wystarczającej pochwały dla pewnego płótna, nadmieniamy, iż malarstwo historyczne we wznioślejszem znaczeniu tego słowa zniknęło zupełnie we Francyi. Kołaczą się tylko dwa jego typy i to najmniej ciekawe, mianowicie do nieskończoności tematy z mitologii i Biblii. Cechą *moderne* szczycą się przeważnie obrazki, przedstawiające rozwiązłe, próżniacze i niemoralne życie światowej i półświatowej kobiety. Wielkie również powodzenie pod względem materyalnym mają sceny z czasów ostatniej wojny. Paryż posiada dziś cały oddział młodych i starszych malarzów, wyzyskujących czułą strunę patryotyczną. W pierwszych latach po wojnie podobne obrazy odpowiadały wezbranemu i zranionemu uczuciu miłości dla ojczyzny; lecz dziś wszystko się zmieniło. Uwieczniono już oddawna wszystkie bohaterskie epizody walki z prusakami; obecnie bujna wyobraźnia próbuje idealizować skromne tryumfy francuskiego oręża. Więcej już zapewne namalowano jeńców pruskich, niż było ich w rzeczywistości.

Do kategoryi najlepszych utworów na wystawie należą wyborne portrety Bonnata, Cabanela, Meissoniera i innych, pełne życia i smętnej poezyi krajobrazy, szczególnie zaś widoki morskie. Są to w istocie dziedziny malarstwa, w których wykonanie stanowi przeważną, jeżeli nie wyłączną wartość.

Za to nie mogę się zgodzić ze zdaniem, ogólnie przez krytyków tutejszych przyjętem, jakoby wystawa mieściła wiele arcydzieł. Miano to nadają oni utworom, wykonanym niewątpliwie z wielką zręcznością, ze znakomitem wykończeniem technicznem i artystycznem, lecz niezawierającym właśnie tego, co stanowi istotę arcydzieła, oprócz powyższych przymiotów, a mianowicie przedstawienie jakiejś wznioślej myśli lub wyrażenia jakiegoś wznioślego uczucia *). Utwory takie, jak: *Andromeda* lub *Zakonnica* Hennera są raczej znakomitemi studyami, jeżeli chcecie, rozwiązującemi jakieś trudne zadanie artystyczne — np. przedstawienie ciała ludzkiego przy danem oświetleniu, na danem tle i przy danych akcesoryach, wszystko w możliwie trudnej kombinacyi. Podobne utwory zachwycać mogą znawców, gdy artysta wywiązał się zwycięsko ze wszystkich trudności, lecz daleko mniejszą wartość mieć muszą w oczach rozsądnego widza, który nie traci z oczu społecznej roli sztuk.

Streszczając wrażenia, które wynieśliśmy z kilkakrotnych odwiedzin wystawy, powiemy, iż malarstwo współczesne we Francyi, posiadając wiele talentów, doszło pod względem technicznego i artystycznego wykonania do znakomitej doskonałości, lecz w nierównie mniejszym stopniu szczycić się może przewodnią myślą swych utworów. Słowem, uczucie, które nie powinno być obcem żadnemu dziełu sztuki, w jakiejkolwiekbądź dziedzinie, stało się prawdziwą rzadkością.

Ad. Sz.

*) Nie sądzimy, ażeby ten warunek był koniecznym. Arcydziełem może być zwykły krajobraz. *Red.*

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Walery Przyborowski. **Najazd o cześnikównę**, opowiadanie historyczne. **Magdalena** — powieść.

Miłośnicy przeszłości, kreśląc charakterystykę ubiegłych czasów, nie znajdują barw dosyć żywych, nie mogą dobrać słów należycie dosadnych, aby przekonać nas, skarlałych wrzekomo potomków, jakim to szerokim, bystrym strumieniem płynęło życie ojców, strojne we wszystkie kolory tęczy, oblane blaskiem wszystkich świateł niebieskich — w przeciwstawieniu do powszedniej, szarej teraźniejszości—jakie to tam nieprzebrane bogactwo typów, jaka rozmaitość wydarzeń! Ale ilekroć schodzą z teoretycznej wyżyny i starają się odzworować minione czasy, dziwnie blado i jednostajnie przedstawia się nam owo dawne życie, wypadki powtarzają się aż do znudzenia, a po za kilka szablonowych postaci nie wychodzi twórcza fantazya artystów. Najazdy, pojedynki o byle co, czasem dla odmiany procesy, rubaszne krotochwile i pijatyka ciągła, nieprawdopodobna, homeryczna, że tak powiem — oto niezmienne tło obrazu. Czy to wina przeszłości, czy jej malarzy, wdawać się w to nie będziemy; zaznaczamy tylko przeciwieństwo teoryi i jej urzeczywistnienia. Chcąc odwzorować jakąś epokę, badać potrzeba skrzętnie najdrobniejsze szczegóły i z tych okruszyn lepić mozaikę; trudniej już odtworzyć charaktery, bo do tego niezbędną jest intuicya. Kaczkowski, obdarzony nią w wysokim stopniu, wybrał sobie jednak tylko mały zakątek ziemi, który poznał nadzwyczaj dokładnie, objął kilkudziesięcioletni zaledwie okres czasu; dlatego też powieści jego noszą na sobie znamię realnej prawdy. Kto chce ogarniać szersze widnokręgi, rozproszy tylko siły, bo niepodobna jednemu człowiekowi nagromadzić takiego zapasu wiedzy. Nawet Kraszewski, dopóki znajduje się w XVIII wieku, zwłaszcza w epoce saskiej, jest mistrzem, ale im dalej sięga w przeszłość, tem większy zdradza brak materyału, bez którego żadna intuicya na nic się nie zda. I Rafael, gdyby miał na palecie tylko trzy lub cztery farby — nie stworzyłby arcydzieła.

Jeden z najpoważniejszych krytyków nazwał p. Przyborowskiego fotografem przeszłości. Nie mogę zgodzić się na to określenie. Przypomina mi on raczej urzędowego rysownika, jakiego posiada każda prawie redakcya ilustrowanego pisma. Ile razy zdarzy się potrzeba: czy to pożar zniszczy teatr w Wiedniu, czy trzęsienie ziemi zwali Ischię w gruzy, czy niemcy pobiją gdzieś francuzów lub naodwrót —

artysta taki rysuje niewidziane katastrofy lub bitwy, bo wie, jak wygląda morze, widział walkę albo przynajmniej jej przedstawienie.

Oryginalności pomysłu, wiernego odzwierciadlenia chwili nie szukaj w takiej robocie, ale zewnętrzne szczegóły oddane są prawdopodobnie. Pożar jest — ale czy w Wiedniu czy w Nicy — trudno zgadnąć; jest bitwa — ale kto się bije, to wszystko jedno: pikelhauby pomagają odróżnić prusaków od francuzów, jutro znowu zastąpią ich turbany i zamiast Sedanu mieć będziemy — Plewnę. Gdyby p. Przyborowski nie napisał, że powieść jego dzieje się w XVII wieku, nikt by nie odgadł; zarówno dobrze możnaby ją przenieść w wiek XVIII — nawet zyskałaby na tem nieco. Postacie bowiem bohaterów wyglądają jakby skopiowane z obrazów Kaczkowskiego. Stary cześnik przypomina p. Wita, Niemira—Nieczuję, Kosakowski z początku robi wrażenie Murdeliona. Nie są to umyślne, ale mimowolne zapożyczania, posuwające się aż do powtarzania szczegołów (np. przebieranie mnicha w świeckie suknie itp.). Świadczą one dowodnie, że autor nie badał przeszłości źródłowo, lecz czerpał wiadomości o niej z drugiej ręki. Musiał przecież szlachcic z pierwszej połowy XVII wieku różnić się czemś od swego potomka, żyjącego o 150 lat później, przynajmniej mówił innym trochę językiem.

Tu dodać należy kilka słów o stylu p. Przyborowskiego. Razi w nim maniera, ciągłe powtarzanie: owo, jeno itp. wyrazów, również nadużycie przedmiotników skróconych np. silen, mocen. Wplatanie niepotrzebne zgoła staropolskich wyrażeń uszłoby p. Synoradzkiemu, który np. używa zwrotów: „jak mi Deus miły,“ sądząc naiwnie, że należy koniecznie łaciną przekładać polskie frazesy. Słowem p. P. uzdolnień potrzebnych na historycznego powieściopisarza nie posiada a powodzenie pierwszych jego prób w tym rodzaju objaśnia się tem, że treść ich poruszała rzeczy ciekawe a małoznane. Uprzedziło to życzliwie krytyków, którzy realizm w prowadzeniu intrygi i opisach łaskawie utożsamili z prawdą historyczną.

A przyznać należy, że p. Przyborowski umie wybierać tematy do swych opowiadań. Przedstawia on położenia niewyzyskane dotąd wcale, potrąca o wypadki świeżej daty i wywołuje w czytelnikach uczucia i refleksye bolesne nieraz, ale interesujące zawsze. Po przeczytaniu jednak książki, odkładasz ją z niezadowoleniem, bo przedstawia ona w duszy wrażenie czegoś niezupełnego, niedomówionego. Nie można o to oskarżać jedynie autora, ale te półsłówka i naszkicowane ledwie kontury psują wrażenie w całości. Nie jest zresztą i on bez winy. Chęć wywołania silnych wzruszeń, chociażby za cenę, nie powiem przekręcania, ale lekkiego naginania życiowej prawdy, chociażby za pomocą melodramatycznych efektów, sprowadza go z właściwej drogi. Zajmująca intryga odbyć się nie może bez nadzwyczajnych wypadków, bez niezwykłych charakterów itp. środeczków. Jest to naśladowanie francuzów, ale, niestety, polski autor nie poprzestaje na tem i zabarwia swe utwory tendencyą, ostatecznie jednak zarówno tendencya, jak intryga źle na tej spółce wychodzą. Pierwsza ginie gdzieś, albo w najlepszym razie paczy się w plątaninie efektownych zmyśleń, wzgląd zaś na nią przeszkadza znowu intrydze płynąć naturalnie i swobodnie.

Magdalena, to smutna historya upadłej dziewczyny, którą gorąca, nagła, ale dzika i zwierzęca prawie miłość człowieka, niedotkniętego prawie wpływami cywilizacyjnymi, wyciąga z błota i uszlachetnia. Człowiek ten, rosyjski urzędnik w Warszawie, Archangelskij, żeni się z nią i wywozi z sobą do samarskiej gubernii. Dręczona wyrzutami sumienia, prześladowana przez fanatyczną pół-waryatkę teściowę, opuszczona prawie przez kochającego ją, ale znudzonego jednostajnem życiem i szukającego silnych wrażeń męża — Magdalena po stracie jedynego dziecięcia, w napadzie szalonej rozpaczy, topi się. Oto szkielet powieści. Po przeczytaniu jej trudno rozstrzygnąć doprawdy, jaki cel miał autor przed sobą. Jeżeli szło mu o przeprowadzenie założenia, że kobieta upadła nie może całem życiem nawet odpokutować swego grzechu i musi cierpieć karę do śmierci, to niepotrzebnie wcale oprawił w ramy, które ją zaciemniają tylko. Tragiczny los bohaterki jest bowiem wynikiem nietylko psychicznych przyczyn, ale i wypadków zewnętrznych. Jeżeli zaś chciał zobrazować położenie kobiety, którą miłość lub interes rzuciły śród obcych ludzi, w otoczenie nieprzyjazne i nieznane — to również dla uwydatnienia tej przewodniej myśli należało wziąść istotę zwyczajną, postawioną w warunki normalne, wtedy dopiero owa trudność lub niemożliwość nieprzystosowania się do nich wystąpiłaby we właściwem oświetleniu. Zadanie to nie łatwe; próbował go po części Niekrasow w swoim poemacie *Matka* i niezupełnie mu się udało, ale dla utalentowanego pisarza mogłoby być bardzo wdzięcznem.

Tylko w takim razie musi on posiadać dokładniejszą nieco znajomość otoczenia, w którem rozwijać się będzie owa cicha tragedya, aniżeli ma p. Przyborowski. Sam Archangielskij wyszedł jako tako, widocznie autor miał wzór na miejscu, ale matka jego—nieprawdopodobna. Jest ona starowierką, gdy tymczasem wyznanie to, w sferach mniej lub więcej inteligentnych, nie posiada wcale wyznawców; zdarzać się mogą tylko wyjątki, które o właściwych stosunkach pojęcia nie dają. Razi także ta nieprzyjaźń, zaakcentowana silnie, z jaką miejscowi przyjmują cudzoziemkę; kto poznał na gruncie tolerancyjność narodu rosyjskiego względem ludzi innej narodowości i wiary, odczuje fałsz tego obrazu. Pod tym względem nawet starowiercy nie różnią się wcale od swych współziomków; owszem, są nawet wyrozumialsi, bo prześladowanie nauczyło ich cenić swobodę cudzą. Jest to fakt niejednokrotnie stwierdzony.

Na zakończenie dodam jeszcze, że wielkorosyanie nie używają wcale, zwłaszcza lud, wyrazu *lach* lub *laszka*—jest to nazwa małoruska. Ponieważ dziś w niektórych, niby to realnych powieściach, ukraińcy śpiewają pieśni weselne w narzeczu mieszkańców środkowych gubernij, uważałem za stosowne zrobić tę maleńką uwagę.

Wiat.

Prasa peryodyczna.

Biblioteka Warszawska, tom III, lipiec, sierpień, wrzesień.

Podjęte we wstępie zadanie obrony Jana Szczęsnego Herburta, p. Sokołowski wypełnił w drugiej połowie swego studyum, co mile zapewne uderzyło każdego, wprowadzonego w błąd końcowym pozorem części pierwszej. Niespodziewany więc dalszy ciąg rozwija długie pasmo wypadków, w których mniej lub więcej wybitną rolę odgrywał wydawca Długoszowej kroniki. Są to właściwie chwile przeciągłej walki powstańczej z rządami Zygmunta III, niestanowczej, to przycichającej, to na nowo wybuchającej, a w rezultatach swoich jałowej. Charakteryzuja ją, zarówno jak i samego Herburta—połowiczna ugoda janowiecka, porażka, jakiej doznał wraz z Januszem Radziwiłłem i Zebrzydowskim w bitwie pod Guzowem, mozolne i nieumiejętne zabiegi wziętego do niewoli Herburta koło odzyskania swobody, pojednanie się z królem, przypieczętowane uroczystem przyrzeczeniem poddania się ograniczeniom karnym, złamanie przysięgi i rozpoczęcie na nowo rokoszańskich działań w sojuszu z Gabryelem Batorym, wreszcie znalezienie ujścia dla nieposkromionej niczem energii w działalności wydawniczej, której doniosłem dla potomstwa owocem było ogłoszenie Długosza i Kadłubka oraz kilka innych oryginalnych a nawskróś tendencyjnych utworów literackich. Gorączka pisarska była tylko odmiennym wyrazem tej samej opozycyi, nową, jeszcze niebezpieczniejszą bronią przeciw oligarchii i gospodarstwu Wazy. Wszystkie pamiętne chwile życia Herburta znamionują w nim umysł wysoce inteligentny i gruntownie na wzorach klasycznych wykształcony, niepodległy i ruchliwy. Autor bohaterowi chciał przywrócić cześć wyśledzeniem manowców, jakimi ten zeszedł aż do warcholstwa — ale szaloną pałką Herburt w polityce był zawsze, od pierwszej doby wstąpienia na pole samodzielnej agitacyi. Wyradzania się w nim charakteru nie widać, jeno zwykłą w polskich żywiołach burzliwych niekonsekwencyę i przewagę popędu nad chłodnym rozsądkiem. Monografia p. Sokołowskiego napisana jest językiem potoczystym i żywym.

Do prac historycznych zaliczyć należy także „Obraz ekonomiczno-statystyczny archidyecezyi gnieznieńskiej w XVI wieku“ p. Stan. Marońskiego; zawiera on bowiem wiele danych dziejowych, biograficznych, ekonomiczno-prawnych, numizmatycznych i topograficznych. Z innych rozpraw, zapełniających ostatni tom, żadna na szczególne uwzględnienie nie zasługuje. Niektóre z nich są przedrukami odczytów publicznych, jak: „Sceptycy, stoicy i epikurejczy,“ hr. Wojciecha Dzieduszyckiego; „O prawach kobiety,“ p. Wierzchlejskiego. Inne, jak artykuł p. Eryka Jachowicza: „Nasze miłosierdzie publiczne,“ „Wystawa hygieniczna w Berlinie“ dla polaka mają tylko znaczenie dziennikarskie, wreszcie praca p. E. Lipnickiego „Odsiecz Wiednia w najnowszej literaturze niemieckiej,“ „Konwersya renty francuskiej,“ dra Bron. Łozińskiego „Rafael Santi“ p. Karola Matuszewskiego, „Austryacka nowela szkolna“ p. Michała Chylińskiego, a także rozpoczęty dramat historyczny p. Wincentego Rapackiego p. t. „Odsiecz Wiednia“ posiadają charakter przeważnie okolicznościowy i dlatego w sprawozdaniu naszem bliżej rozpatrywanemi być nie potrzebują.

N. H.

LIBERUM VETO.

Strachy nad zachodnią granicą Królestwa.—Ludzie czy duchy.—Przerażenie i wątpliwa odwaga.—Figlarz. — Wyrzynanie języków.—Sen i przebudzenie się p. Ch. — Pieniądze bez skrzynki. — Pożegnanie p. Golicyna. — Złoty most.—Rozmowa na nim.—Losowanie w komitecie kasy Mianowskiego.—Dwaj niezbędni.—Łatwiej o geniusz, niż o rozum. — Albert K. — Wyjaśnienie.

Chwałaż Panu, że to się już skończyło, bo jeżeli nie o zdrowie nasze, to w każdym razie o zdrowie *Rusi* i *Now. Wremieni* bylibyśmy bardzo niespokojni. Od kilku miesięcy na zachodniej granicy Królestwa pokazywały się strachy. Widywano je w różnych miejscach, a zawsze pod postacią oficerów austryackich, którym nawet towarzyszyli żołnierze. Jednego z nich obejrzano tak dokładnie, że *Ruś* dostrzegła w jego twarzy bródkę i wąsy, podobne do bródki i wąsów Kossaka. Czyżby to byli ludzie zbrojni, prawdziwi, groźni podczas-

pokoju i „normalnych“ stosunków sąsiedzkich? A przecie straszyło. Albo więc to były duchy, albo przywidzenia *Now. Wremieni* i *Rusi*. Ponieważ jako pozytywiście, czyli materyaliście, czyli ewolucyoniście wolno mi w duchy nie wierzyć, przeto oświadczam się za drugiem przypuszczeniem. Nie przeczę, że w ciągu ostatnich miesięcy nad zachodnią krawędzią przechadzał się jakiś oddział austryacki pod dowództwem męża z bródką i wąsami, może nawet mąż ów zboczył do wioski za kordonem dla napicia się wody, ale nie sądzę, żeby chciał „złamać granicę.“ bo na co by mu się to przydało? Pragnął przestraszyć *Now. Wremia* i *Ruś?* Chyba! Powiodło mu się to istotnie. Obie gazety opowiedziały o swem odkryciu, szczękając zębami tak mocno, że aż bardzo podejrzaną wydaje mi się ich odwaga w rzucaniu rękawicy austryakom z odległości kilku tysięcy wiorst. Ciągle słyszałem, jak pp. Suworin i Aksakow wołali, grożąc ku zachodowi: „damy my wam!“, aż tu nagle ci sami bohaterowie narobili gwałtu i omal nie opuścili swych abonentów, zobaczywszy nad granicą spacerujących austryaków. O, fe!

Tę trwożliwość zrównoważył jednak współcześnie objaw rzeczywistego męstwa. Pisma donoszą ze Stannicy Galaszewskiej, że tam niedawno poszło do lasu na orzechy dwu chłopców, którzy powrócili bez... języków. Prawdopodobnie obciął im je okrutny właściciel, który odrazu dokonał dwu operacyj: ukarał szkodników i odjął im możność zdradzenia go. Ponieważ obecny słownik etyki społecznej złodzieja, który ukradł parkan lub obrabował sklep, nazywa pieszczotliwie „rzezimieszkiem“ lub „łotrzykiem,“ nie wiem zatem, jak mam przyzwoicie ochrzcić tego nowego bohatera. „Rzęzijęzyk“ nie utarło się, „zbój“ nieparlamentarnie, więc chyba „figlarz.“ Pospieszam jednak dodać, że to figlarz w duchu czasu i że nie jest tak oryginalnym, jakby się na pozór zdawało. Pisma rosyjskie i nasze zatytułowały wiadomość o tej psocie wykrzyknikiem: „niesłychane!“ Protestuję przeciwko temu stanowczo. O wyrzynaniu języków dla dogodzenia zemście i odebrania ofierze możności skargi słyszałem nieraz, przyznaję się też, że wypadek w Stannicy Galaszewskiej nie uderzył mię żadną nadzwyczajnością. Niezwykłe w nim jedynie to, że tak ukarano chłopców, zbierających w lesie orzechy.

Szczęśliwi ludzie, którzy doświadczeń nie pamiętają i rzeczywistości nie widzą, bo mogą mieć... złudzenia. Takim szczęśliwcem jest p. Ch., który w *Gazecie polskiej* wykazał dowodnie, że koncerty, zapomogi, słowem jałmużna upokarza studentów i że potrzeba dla nich założyć kasę pożyczkową, którą społeczeństwo nasze zbyt długo odwleka. Gdym czytał obszerne w tym przedmiocie uwagi, zdawało mi się, że ich autor zasnął przed dwudziestu kilku laty, a obudziwszy się teraz dopiero, wstaje i opowiada: „Dziwna rzecz, jak przewodnicy uniwersytetu lekceważą swoje obowiązki. Mianowskiego niema w Warszawie, Chałubiński wcale nie wykłada, Tyszyński i wielu innych również nie widać, o kasie studenckiej nikt nie myśli.“ A tu tymczasem Mianowski i Tyszyński umarli, Chałubiński i inni nie są profesorami, co zaś do kasy, to zaś do kasy, to *Kuryer Codzienny* dość wyraźnie oznaczył, jak do niej daleko. Jeśli zaś p. Ch. temu nie wierzy, niech ją założy, a ja zobowiązuję się dać na fundusz zapasowy od siebie rs. 100 i zebrać 1,000, naturalnie, gdy będę pewny prawidłowego rozporządzenia pożyczkami. Zgoga? Widzi autor projektu, jak pieniądze grają tu podrzędną rolę: jeszcze niema skrzynki, a już jest 1,100 rs. dla niej. Ręczę zaś, że ofiarodawców z poważniejszemi sumami znalazłoby się wielu. Zatem trzeba tylko postarać się o ową skrzynkę, a naturalnie obowiązek sprawienia jej musi ciążyć na tym, który twierdzi, że do nabycia jest łatwą i możliwą. Inaczej będziemy ciągle krzyczeć i bić społeczeństwo, często wyglądające jak koń zaprzężony do olbrzymiej góry, którą ma z miejsca ruszyć.

Że tego konia podetnie swym biczykiem p. Golicyn, wyjeżdżając z *Dziennika Warsz.*, nie sądziłem. Szanowny ten inżenier, który przed kilku laty zaczął budować „złoty most“ i nie otrzymał od nas pożądanego materyału, z takiem — według *Gazety Warsz.* — złorzeczeniem opuszcza swoje stanowisko redaktora: „Z początku wydawnictwa zaprzątaliśmy się gorliwie zbadaniem lub też ponieką projektowaniem idei możności pogodzenia, porozumienia, lub też jakiegobądź trwałego, chociażby tylko utylitarnego *modus vivendi* między światem rosyjskim a polskim. Stawialiśmy tylko pytanie, lecz nigdyśmy go nie rozwiązywali w duchu możności. Nigdy nie pisaliśmy się na myśl ustępstwa choćby na jedną jotę z tego, co już posiadamy, co już się spełniło. Oprócz tego co się pisało, próbowaliśmy też osobistego rozmówienia się z reprezentacyą inteligencyi w prasie warszawskiej, ale próba nie przyszła do skutku z winy tejże inteligencyi. Zresztą nie było naszym zamiarem jednać sobie świat polski lub karmić go uprzejmościami; robiliśmy tylko próby, sondowali nowy grunt dla zakończenia i rozwiązania kwestyi polskiej. Nareszcie doszliśmy do wniosku przeczącego, i otwarcie oświadczyliśmy, że trzeba na czas nieokreślony, a właściwie na zawsze, usunąć myśl budowania złotego mostu, na którym mogłyby się spotkać i podać sobie ręce obie narodowości. *Niewdzięczność* społeczeństwa polskiego, jego nieuleczone złudzenia, jego zastarzały *horror Russiae* będą niepokonaną do tego przeszkodą. Doszliśmy tedy do wniosku przeczącego, i nie nasza wina, jeżeli czytelnicy nie zauważyli tego wniosku na kartach naszej gazety.“ W końcu książę Golicyn oświadcza, iż „na zawsze składa pióro.“

Więc nam już nawet nie odpowie, gdybyśmy go zapytali, czego od nas chciał? Co my byśmy właściwie na tym „złotym moście“ robili —„niewdzięczni?“ Ks. Golicyn jest heglistą, według niego *alles, was ist, ist vernünftig*, dla jakiego więc licha „złote mosty“ — „spotykania się“ — „osobiste rozmowy“ i tym podobne fatygi, kiedy one przynajmniej jednej strony nie oduczą heglizmu? Bo wystawmy sobie, że nie dwa „światy,“ ale ja i ks. Golicyn jako delegaci schodzimy się na owym moście i — cóż?

Ks. Golicyn: Dzień dobry.
Ja. Dzień dobry.
Ks. G. Kochaj mnie.
Ja. Kochaj *mnie*.
Ks. G. Bądź moim przyjacielem.
Ja. Bądź *moim* przyjacielem.
Ks. G. Wymagasz wzajemności?
Ja. Wymagam wzajemności.
Ks. G. Do widzenia.
Ja. Do widzenia.

No i do czegóż doprowadziłby nas ten dyalog na „moście?“ Żebyśmy chociaż wynaleźli *modus* założenia kasy dla studentów!

W ubiegłym tygodniu odbyło się losowanie członków komitetu Kasy Mianowskiego, którzy mają ustąpić. Wylosowano pp. S. Kronenberga, Dejkiego, H. Sienkiewicza i dra Śliwickiego. Nie pamiętam, czy ustawa dozwala na bezpośrednią kadencyę ponownie wybierać wychodzących z zarządu; w tym wypadku taka swoboda byłaby bardzo pożądaną, gdyż w usunięciu się dwu pierwszych członków Kasa straciłaby bardzo ważne podpory. P. Kronenberg jest jej vice - prezesem i głównym opiekunem, p. Dejke zaś kasyerem. Radców zawsze łatwiej znaleźć można, ale o drugiego Kronenberga i Dejkego trudniej, jeszcze chyba trudniej, niż o członków, którzyby regularnie opłacali składki. Jak Towarzystwo muzyczne, Zachęty sztuk pięknych, jak resursy i wszelkie stowarzyszenia, Kasa Mianowskiego cierpi również na tę nieakuratność. Ktoś powiedział, że w Polsce łatwiej spotkać geniusz, niż zdrowy rozsądek. To święta prawda, a świętsza jej siostra, że u nas łatwiej znaleźć człowieka, który da odrazu 1000 rs., niż takiego, który w miesięcznych ratach bez przerwy wniesie 100. W *Kur. Codziennym* od 400 przeszło tygodni jakiś Albert K. składa każdego piątku na ubogich po kilka kopiejek. Jest to najwytrwalszy człowiek w Polsce, a ponieważ ma być młody (badałem jego biografię), to niewątpliwie, gdy dorośnie, będzie najprzykładniejszym członkiem stowarzyszenia, do którego wejdzie. Proszę go też usilnie, ażeby się zapisał do Kasy Mianowskiego. Gdyby ona miała bodaj 1000 Albertów K!

Pamiętam często głoszony przeciw niej zarzut, że dotąd Kasa nie *wydała* nic godnego szerszej uwagi. Otóż winienem objaśnić, że ona wcale nie *wydaje*, tylko udziela zapomóg pracującym na polu naukowem. Nie jej przeto wina, że tylko drobne prace o pomoc ją wzywały.

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Kowno. Terminator szewcki, surowo ukarany przez majstra, zemścił się, zamordowawszy w nocy swego pryncypała wraz z żoną; maleńkie zaś ich dzieci wrzucił do rozpalonego pieca, poczem dla ukrycia śladów zbrodni podpalił dom.

Ząbkowice. Urzędnicy kolejowi na tej stacyi prenumerowali wspólnie kilka pism; obecnie zawiadowca wywiesił następujące ogłoszenie: „Czytanie pism w biurze, jak również zostawianie takowych *na składzie* (?) zabrania się, do czego proszę zastosować się.“

Stopnica. We wsi Budzińcach brat jednego z gospodarzy wiejskich, przemyśliwający nieustannie o zbawieniu duszy, zamknął się w stodole i podpalił ją, pragnąc tem męczeństwem okupić grzechy. Wraz z podpaloną stodołą spłonęły inne budynki gospodarskie.

Ze Żmudzi. Dopełniając wzmiankę w nrze 42 *Prawdy* o nagrodach dla urzędników pewnej kolei żelaznej, jeden z korespondentów pisze: Najważniejsze a opuszczone zastrzeżenie brzmi tak: „Do nagrody nie mają prawa ci, którzy od 1 stycznia 1882 r. po dzień wydania rozporządzenia dostali wsparcie.“ Ponieważ zaś z takich zapomóg korzystają chorzy, więc tych odsunięto od stołu... gratyfikacyj. Za to innych obdarzono dwukrotnie (w r. 1879 i 83). Przytem kilka ilustracyj. Pewien urzędnik za niedbalstwo i opieszałość w pełnieniu obowiązków został zeszłego roku zdegradowany, w bieżącym zaś otrzymał nagrodę. Pan X. od początku 1880 r. do września zapłacił kar 99 rs., ale ponieważ zatwierdzała je niższa instancya, więc nie pozbawiły go nagrody. Ale p. Y, który w tym samym czasie ukarany został *przez dyrektora* 5 rublami, stracił ją.

Pewien włościanin, przechodząc blisko pasących się krów, wziął jedną za rogi i zaprowadził do domu. Pasterze, dobrawszy kilku chłopów, popędzili za nim i związanego prowadzili z krową do „pristawa.“ Wdrodze połączyli się z orszakiem sąsiedzi, z którymi uradzono, że najlepiej będzie wymierzyć sprawiedliwość doraźną. Jakoż jeden kijem, drugi mokrym powrozem, inny kułakiem zbili biedaka, tłomacząc się, że krowę zajął z owsa, i wrzucili go do rowu. Wyciągnął go stamtąd konduktor kolejowy, który jednak, dowiedziawszy się o przyczynie pobicia, uderzył kłodą winnego, który też życie zakończył. Dwunastu sędziów i wykonawców sprawiedliwości doraźnej oczekuje wyroku w więzieniu szawelskim.

Inny pokrewny wypadek. Znany złodziej ukradł pewnemu włościaninowi konia, ale ptaszka złapano i odstawiono do „pristawa.“ Ten jednak odmówił swego udziału w sprawie, gdyż ona nie należała do jego rewiru. Ale włościanie, odprawieni od Anasza, nie chcąc

szukać Kaifasza, połamali złodziejowi żebra i wrzucili go do rowu, skąd go ktoś przewiózł do szpitala.

Pewien szlachcic wyprocesował od chłopów kawałek ziemi. Ale gdy przystąpił do zasiewu, napotkał energiczny opór żony jednego z włościan. Wywiązała się sprzeczka: krewki pan uderzył kobietę w okolicę ciała, która nie bardzo lęka się obrażeń, mąż zaś skrzywdzonej poczęstował go 23 śrucinami z dubeltówki. Lekko ranny już się wyleczył, ale chłop za swą odwagę siedzi w kozie. Pan obywatel zaś bardzo zadowolony z niewielkiej straty krwi za przyjemność wygrania procesu i zasadzenia „chama“ do więzienia.

Oto jakie rzeczy się dzieją na Żmudzi. Lud ciemny i dziki, a niewiele prawdopodobnie wpływa na niego świeżo wydana książeczka przez lektora i definitora św. teologii ks. Bolesławiusza. Chociaż znowu z drugiej strony należy wierzyć w siłę książeczek, gdyż przed kilku miesiącami, niedaleko Michelmondtu, stacyi kolei żelaznej (pow. kowieński) przez dwa tygodnie tysiące ludzi, pomimo ulewnego deszczu, stały na polu, by zobaczyć cudowne objawienie w życie. Między jadącymi widziałem dużo kobiet inteligentnych. Objawienie to wyjaśniło się tak: Pewna idyotka, młoda dziewczyna, wyszła z rana w bieliznie, uklękła w życie i wpatrywała się w chmury i obłoki. Kilka kobiet, zobaczywszy białą postać, zaczęło z przestrachu uciekać, lecz biała figura szybko dopędziła je i powiedziała: „głupie, czego uciekacie, chodźcie tam, zobaczycie Matkę Boską!“ Kobiety poszły i zobaczyły, o widzeniu tem powiedziały sąsiadkom, te nie widziały, bo były niegodne, wieść jednakże jak błyskawica rozeszła się po Żmujdzi. Rezultatem objawienia było zniszczenie przeszło dziesięciny żyta i strata kilkunastu dni roboczych przez parę tysięcy ludności. Szczęśliwa jasnowidząca pojechała do Bonifratrów. Wieść niesie, że całą tę sztukę urządził najbliższy karczmarz starozakonny; lecz o ile to prawda, niech zapewnią ci, którzy widzieli cud.

Co duchowieństwo robi? Polemizuje z „inteligencyą.“ Raz wszedłem do kościoła. Jakiś przyjezdny ksiądz mówił kazanie po polsku. Od lat 7 nie słyszałem kazania, ponieważ nie znam języka żmujdzkiego; z natężeniem więc uważam: „Wy czernikowie i wy kapelusiaste (zapewne noszący surduty czarne i takież kapelusze), po coście tu przyszli? Jestem pewny, że nie pomodlić się do Boga, ale zobaczyć pięknetwarzyczki, uścisnąć się za ręce, pokazać tualetę, przejrzeć kawalerów lub panny, zapytać, ile kto ma dochodu rocznego. O wy, którzy siedzicie wieczorami przy pięknych lampach, którym świecą piękne świece, będziecie po śmierci oświeceni przez ognie piekielne, oczy wasze będą szarpać wrony a na głowach będą siedzieć „korszuny“ (jastrzębie). Co daj Boże Amen.“

Myśl że tu wobec takich apostołów o oświacie i umoralnieniu ludu!

Z Łomży. Odbieramy list przeciwko skardze w nrze 42 *Prawdy*, z którego do rzeczy należy następująca reklamacya: „Autor potępia bez litości wszystkich i wszystko: lekarza za niedbalstwo, kuratora za niedozór i zmowę z intendentem i felczerem, zaś cały zarząd za obojętność, z jaką patrzy na przeszkody, stawiane przez służbę dobrym chęciom pań, które przyjęły na siebie nadzór nad gospodarstwem szpitalnem. W skargach tych i słowa niema prawdy. Lekarz i kurator od wielu już lat należą do zarządu szpitala, a nikt uczciwy i poważny o lekceważenie obowiązków nie winił ich dotychczas. Fałszem jest także, by zwierzchność szpitala niechętnem patrzyła okiem na pomoc, jaką jej niosą panie łomżyńskie—owszem, oceniając należycie ich ofiarność i pożyteczną pracę, pilnie stara się, o ile na to instrukcye i bardzo szczupłe środki pozwalają, iść za ich wskazówkami i spełniać życzenia. *Dr. Londyński*, insp. lekars. członek łom. Rady gub. dobr. publ.

Skarga utrudnienia paniom łomżyńskim udziału w opiece szpitalnej, przesłana nam została imiennie i przez osobę ze stosunkami bezpośrednio obznajmioną. Nie rozstrzygając z oddalenia, po czyjej stronie słuszność, zwracamy tylko uwagę dra L., że autor korespondencyi wcale nie „potępiał bez litości wszystkich i wszystkiego.“

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 14 listopada.

Powstanie serbskie. — Projekt rzeczypospolitej bulgarskiej. — Znowu podróże. — Mowa Gladstone'a. — Widmo komuny.

Według zapewnień rządu serbskiego powstanie w okręgu zajczarskim ostatecznie zostało stłumione; inaczej trochę brzmią doniesienia z bezstronnych źródeł. Zbuntowani górale pobici wprawdzie zostali w większych potyczkach, ale rozdzielili się na drobniejsze oddziały, i korzystając z warunków miejscowości, długo jeszcze prowadzić mogą partyzantkę. W oczekiwaniu zupełnego ich poskromienia zabiera się tymczasem p. Christicz do niemiłych sobie i Austryi radykałów. Niezależne dzienniki uległy konfiskacie, resztę prasy poddano cenzurze a wybitniejsi członkowie partyi zbiegli za granicę w obawie, żeby ich nie uwięziono lub nie stracono z doraźnego wyroku sądów wojennych, jako „moralnych sprawców powstania.“ Nowy ten termin prawny wynalazł rząd króla Milana dla oznaczenia winy ludzi, przeciw którym żadnych dowodów nie odnalazł.

Na księcia Battenberga spadł nowy piorun z niespodziewanej strony. *Moskowskija Wiedomosti*, zastanawiając się nad położeniem rzeczy na półwyspie bałkańskim, przychodzą do wniosku, że stworzenie monarchii w Bulgaryi nie miało za sobą poważnej racyi i że dla narodów młodych odpowiedniejszą jest... republikańska forma rządu. Proponuje więc organ p. Katkowa zniesienie monarchii a zaprowadzenie rzeczypospolitej bulgarskiej, na prezydenta zaś zaleca — ktoby się tego spodziewał — Aleko-paszę! Tym sposobem Rumelia Wschodnia połączyłaby się z Księstwem, ale co na to powiedzą w Wiedniu i Berlinie? Dotychczas są to tylko pobożne życzenia, pozbawione urzędowej sankcyi, a tymczasem generał Kaulbars, wysłany przez rząd rosyjski dla uregulowania wzajemnych stosunków, przybył już do Sofii i rozpoczął układy.

W lecie za pretekst do podróży monarchom służą: wody mineralne, w jesieni polowania. Zaczęły się więc znowu podróże, tym razem wprawdzie nie panujących, ale w każdym razie osób stojących blisko tronu. Arcyksiążę Rudolf odwiedził Berlin a następca tronu niemieckiego w imieniu cesarza Wilhelma udał się w odwiedziny do Madrytu. Po drodze zawadzić ma on o Włochy, głównie dlatego, ażeby ominąć Paryż. Radykalna prasa francuska wyraża nadzieję, że republikańska Barcelona urządzi dla niemieckiego księcia właściwe spotkanie. Czy życzenie to spełni się — trudno powiedzieć, faktem jest jednak, że postępowa partya, stojąca obecnie u steru rządu w Hiszpanii, nie bardzo jest z tych odwiedzin zadowoloną. W przeciwstawieniu do tych wycieczek gazety francuskie podnoszą pobyt wielkich książąt rosyjskich w Paryżu.

Na uczcie dorocznej u lorda-majora Londynu Gladstone, stosownie do przyjętej w tym wypadku tradycyi, wygłosił mowę, w której zakreślił swój program polityki zewnętrznej. W sprawach półwyspu bałkańskiego Anglia zamierza trzymać się ściśle postanowień traktatu berlińskiego, co ją zbliża poniekąd do środkowo-europejskiego przymierza. Ale zarazem kierownik rządu brytańskiego silnie zaznaczył wspólność interesów i przyjazne usposobienie swoje dla Francyi, dodając, że w razie jakichkolwiek zawikłań nie dopuści do starcia się dwóch państw zachodnich. W tym duchu również przemawiał poseł rzeczypospolitej p. Waddington.

Francuska Izba deputowanych zatwierdziła prawo o organizacyi municypalnej. Nie stosuje się ono jednak do Paryża, wniosek podany przez opozycyę o zrównanie stolicy z innemi miastami upadł. Widmo komuny wciąż jeszcze straszy lękliwych przedstawicieli narodu, obawiających się, żeby rząd paryski nie współzawodniczył z rządem Francyi.

Wiedeń. Układy z generałem Filipowiczem o objęcie posady bana chorwackiego nie doszły do skutku, ponieważ rząd nie chciał się zgodzić na jego warunki, mające na celu rozszerzenie swobód Kroacyi.

— Sesya delegacyj wspólnych została zamknięta.

Berlin. Ks. Bismark podjął się podobno pośrednictwa w sporze francusko-chińskim.

CUDZE GŁOSY.

Horrendum galicyjsko-sądownicze. Jedna oczywiście i ta sama obowiązuje ustawa sądowa w całej Austryi, jednakową jest dla całego jej obszaru procedura, ale na takie zastosowanie, jakiego złożył dowód sąd baligrodzki, zdobyć się mogła tylko Galicya. Las gminny sprzedany został w drodze publicznej licytacyi za... 60 centów. A lasu tego było morgów... 219. Historya to bezwątpienia zabawna, opowiemy ją tu zatem treściwie. Owóż rzecz tak się miała.

Gmina Wietlin wytoczyła właścicielom dóbr—piszę dalej złotemi głoskami — pp. Konarskim proces o oddanie gruntów rustykalnych. Procesy takie są zwykle w Galicyi przegrywane; nic więc dziwnego, że i Wietlin uległ temu samemu losowi. Sprawa, jak dotąd, jest jeszcze w porządku, przynajmniej galicyjskim, ale to, co dalej, już nawet w Galicyi stanowi rzecz niesłychaną. Wyrokiem sądowym gmina skazaną została na zwrot kosztów w kwocie 143 złr. 75 ct. Sumę tę postanowili pp. Konarscy wywalczyć i rzeczywiście uzyskali prawo egzekucyi na lesie gminnym. Las, oszacowany na 1324 złr. 44 ct., wystawiony został na licytacyę i na trzecim terminie sprzedany. Kupili go ciż sami pp. K. za 60 centów, jako—językiem sądowo-licytacyjnym mówiąc — „najwyżej ofiarujący...“ Czyż jednak sądzicie, że pp. K. poprzestali na tem? Gdzież tam! Od kwoty dłużnej odtrącili tylko 60 centów, dodali zaś do niej przyznane im następnie koszta egzekucyjne w łącznej sumie coś przeszło 200 złr. i wnieśli prośbę do sądu o udzielenie im prawa zastawu na zapisach długu państwa do gminy należących i o zastawnicze opisanie reszty gruntów gminnych. Sąd obwodowy w Przemyślu już się przychylił do tej prośby...

Fakt powyżej opisany — to potworność dziejów sądownictwa wogóle. Ale, kogo tu wpierw biczować: czy chciwość pp. Konarskich, czy nieporadność chłopów wietlińskich, czy opieszałość i obojętność władz, które o wypadku tym doniosły wydziałowi krajowemu w trzy lata dopiero po dokonaniu licytacyi, czy smagać wreszcie wadliwość postępowania sądowego, obowiązującego obecnie w Austryi. Nawet organ szlachecki, *Czas*, oburzył się tą sprawą i pierwszy ją zanotował.

„Że rzecz sama—pisze — stanowi *horrendum*, niewidziane i niesłyszane dotąd, pod względem społecznym, sądowym i administracyjnym, to tak jasne, że zrozumie każdy, kto kiedykolwiek słyszał co o lesie i jego wartości, o prawie i jego organach, o procesie i jego celu. Nie można nawet wyobrazić sobie drastyczniejszej krytyki wadliwości naszych urządzeń. Gdyby fakt ten znany był przed rozprawą sejmową nad wnioskiem p. Madejskiego o reformie sądownictwa, szanowny wnioskodawca niebyłby może tak

uważnie słuchany, jak na to mowa jego rzeczywiście zasługiwała, bo cała jego krytyka obecnego stanu rzeczy blednieje wobec jednego faktu w tym rodzaju, jak powyższy.“

Niemiecka sprawiedliwość. Od pewnego czasu zachowawcza prasa niemiecka zwraca szczególną uwagę na stosunki polskie. Zaznaczyliśmy już poprzednio zdanie *Gazety Krzyżowej*, która chociaż w pewnej mierze przyznaje słuszność żądaniom poznańczyków; obecnie zapisujemy głos wrocławskiej *Schlesische Zeitung*. Zachowawczy organ widocznie pragnął prześcignąć nawet „gadzinowych“ kolegów. Wprawdzie fakty historyczne, które były przyczyną dzisiejszych stosunków, nazywa ona wprost „niesprawiedliwością dziejową“ — przyznaje, że traktaty zapewniają poznańczykom szczególne prawa, że lojalność pruska polaków nie może być zaprzeczaną, a jednak... *delenda est Carthago.* Nowego Katona martwi szczególnie żywotność polskiego żywiołu jego siła odporna itd.

„Na uwagę jeszcze zasługuje fakt, że w politycznem znaczeniu dzisiaj nie można już mówić wyłącznie o szlachcie i duchowieństwie, że przeciwnie szeroka przepaść pomiędzy wielkim właścicielem a ludem wiejskim już teraz wyrównana, przeciw niemieckiej zaś ludności występuje polska jako zorganizowana całość. Zjawisko, jakie przedstawiła w roku 1848 Galicya, gdzie polska ludność wiejska powstała przeciw robiącej rewolucyę szlachcie, nie jest już dzisiaj możliwem. Niestety, zaostrzyły się w nadzwyczajny sposób równocześnie z konsolidacyą polskości i narodowe przeciwieństwa nietylko pod względem politycznym, ale i społecznym.

Był czas, prawda, ale od tego czasu przeminęły dwie generacye, kiedy polacy i niemcy, mimo narodowych przeciwieństw, w salonach, w lożach (masońskich), a nawet w rodzinach zgodnie i przyjaźnie utrzymywali z sobą stosunki. Po roku 1848 nie unikano się przynajmniej w publicznych miejscach; pruski urzędnik, oficer zachowywał i wobec polaka e szcze pełne uszanowania stanowisko. Chłop całował mu jeszcze w uczuciu słowiańskiej niższości kraj jego szaty.

Dziś nie pozdrawia już ostatni wyrobnik polski urzędnika, a kto z pomiędzy wyższego polskiego towarzystwa z niemcami, mianowicie z urzędnikami j oficerami, w ściślejsze wchodzi stosunki, zostaje odepchnięty przez uczestników owego towarzystwa. Polacy postępują sobie z niemcami w ten sposób, jak gdyby ci niedawno z bronią w ręku jako nieprzyjaciele do kraju ich weszli. Czy niemiecki język wykładowy w szkole jest zdolnym sprowadzić powoli zmianę tych pożałowania godnych stosunków, nie rozstrzygamy na teraz.“

Wobec tych słów niemieckiego organu, dziwnie wygląda niby to przestroga udzielana polakom przez *Nowosti*, żeby nie dali się wziąść na lep obietnic (*Gazeta Polska*):

„Półurzędowcy berlińscy nie chcą ukrywać szydła w worku. Z właściwą dyplomatom niemieckim otwartością wręcz oświadczają polakom: „jesteście nam teraz potrzebni, i byłoby dla nas nieprzyjemnie, gdybyście zwracali oczy na Wschód i tam szukali wybawienia.“ Tak więc mamy źródło nagłego objawu *czułości* (!).

Nauczanie religii w języku polskim i zaniechanie niemczenia nazwisk polskich stanowią po prostu cenę, za którą w Berlinie chcą kupić sympatye polaków na przypadek zawikłań międzynarodowych. Nie powiemy, że to jest piękna cena, boć to, co teraz ofiarują z Berlina polakom, właściwie przyznały im prawa i manifesty królewskie. Jakkolwiekbądź, propozycya zrobiona; polacy mogą się targować (!). Jak się ten targ skończy—nie wiemy; sądzimy jednak, że nawet po dobiciu targu pożądane rezultaty nie będą ani z jednej, ani z drugiej strony osiągnięte. Rząd pruski wiele nie da, a naród polski tyle już nabył gorzkiego doświadczenia, że jak starego wróbla nie złowią go na plewy...“

O czem właściwie ta bajka mówi?

O PRAWDĘ.

Szanowny Redaktorze! Mimo nieprzychylnego zdania, które pan Wł. G. umieścił w pańskiem piśmie o mej książce ostatniej, wdzięczny jestem znakomitemu matematykowi, iż zwrócił na nią uwagę. W przekonaniu zaś, iż beznamiętna dyskusya o kwestyach zasadniczych zawsze ma racyę bytu, pozwalam sobie prosić Sz. Pana o udzielenie mi miejsca na poniższą odpowiedź.

Nie będę rozpraszał wątpliwości pana G., czy jestem „dostatecznie przygotowany do gruntownego pojęcia zdań tych powag naukowych,“ które przytaczam na poparcie swych mniemań, nie będę go upewniał, iż zdania te nie są „mętne,“ lecz jasne jak słońce, zaprowadziłoby to bowiem nazbyt daleko. Zajmę się tylko zasadą, na której sam opierałem swe wnioski, a której i pan G. nadaje wagę największą.

„Że autor — są słowa p. G. — zasady epikurejskiej („ex nihilo nihil“) nie pojął gruntownie, a przynajmniej, że jej nie umiał tu zastosować, najlepszym tego dowodem jest, iż *zapewne* żaden z sumiennych czytelników jego książki nie potrafi odpowiedzieć na pytanie następujące: *czyim kosztem*, przy zasadzie „ex nihilo nihil“ powstają dusze nowe na tym świecie, kiedy stare, nie ginąc przechodzą w świat inny“. (Tu winienem zauważyć, iż nie twierdzę bynajmniej, że dusze stare przechodzą w świat *inny*, owszem uwydatniam, iż w stanie czasowo bezwiednym bytować muszą w tym samym wszechświecie bez granic, którego za życia stanowiły cząstkę — i na tem właśnie polega bardzo naturalny postulat tak zwanej psychopannychii, na który wszakże pan G. nie zwrócił wcale uwagi).

Widocznem jest z powyższej cytaty, iż pan G. trzyma się stanowiska tych przeciwników nieśmiertelności, którzy tej kwestyi nadają formę dylematu: albo dusza istniała przed poczęciem człowieka i w takim tylko razie może również istnieć po śmierci, albo też nie istniała (co jest prawdopodobniejsze a nawet pewne, według Büchnera), a zatem może znów przestać istnieć. *Tertium.* jakoby *non datur.*

Tymczasem obserwacya codzienna, doświadczenie wewnętrzne każdego i prawo logiki uczą bardzo wymownie, że owszem *tertium datur.* Można było nie istnieć (przynajmniej *świadomie*), a jednak być powołanym do świadomego istnienia, tak samo jak można zasnąć twardo, czyli przestać istnieć świadomie, a jednak później bytować samowiednie.

Faktem jest albowiem, że zarówno pan G. jak i ja np. nie istnieliśmy lat temu kilkadziesiąt, a przynajmniej nie istnieliśmy świadomie i dla tego przeszłość ta nasza jest nam zupełnie obojętna. Obecnie jednak istniejemy obadwa i każdy z nas stanowi coś zgoła odrębnego od wszystkiego co jest, było i będzie, każdy tworzy swój światek, każdy jest osobą, bytem indywidualnym, ustawicznie *tym samym*, w swojej *istocie* niezmiennym, pomimo ciągłej zmiany zarówno atomów ciała jako też *stanów* psychicznych. Nie może przytem ulegać poważnemu wątpieniu, iż każdy z nas jest nie powtórzeniem czegoś dawniejszego, ale przyczynkiem do ogólnej sumy istnienia, czemś w zupełności *nowem*: zarówno pan G. jak i ja np. istniejemy przecie po raz dopiero *pierwszy.* Jesteśmy tedy powołani do bytu, jesteśmy czemś, czego dotąd nie było, a więc najwyraźniej zostaliśmy—*stworzeni.* Ta nowość każdej powstającej istoty ludzkiej widoczną jest szczególniej na *bezprzykładnych* geniuszach, takich np. jak Arystoteles, Szekspir, Newton, Napoleon I i t. p., jakkolwiek i najlichszy Maorys albo Eskimos jest także czemś zgoła nowem, bytującem na świecie po raz dopiero pierwszy. *Czyim* zaś *kosztem* powstają zarówno dusze genialne jak i prostacze, odpowiedź na to pytanie leży na dłoni: — częścią kosztem tego co stanowi Zasadę świata, częścią zaś tego, co już było gotowym produktem działania tej Zasady. Żadna zaś teorya dziedziczności, żaden atawizm nie wytłómaczy, jakim sposobem syn korsykańskiego adwokata, a brat nader tuzinkowych osobników został najgenialniejszym z wodzów, albo dla czego z litewskiego zaścianka wyszedł potężny myślą i formą Adam Mickiewicz.

Kto, jak p. G. nie uznaje w człowieku osobnej substancyonalnej duszy, ten oczywiście winien poczytywać człowieka tylko za bryłę materyi organicznej wydzielającą z siebie i w sobie szereg *zjawisk* czyli *stanów* psychicznych, zwanych myślami i uczuciami. W takim atoli razie jakże odpowiedzieć na pytanie: *czyje* są te stany i *co* łączy te stany? Mówię bowiem, że stany te są *niczyje*, że ich nic nie łączy, że nic nie jest ich podścieliskiem, byłoby to mówić może bardzo uczenie, ale zarazem bardzo niemądrze. Jeżeli jest zjawisko, to musi się *coś* zjawiać, jeżeli jest uczucie, to musi *ktoś* uczuwać. Można powiedzieć, że jest uczucie, nieuczuwane przez nikogo? Teorya substancyi, będących substratami zjawisk, pozostanie w filozofii dotąd, dopóki ludzie nie wyrzekną się zasad zdrowego myślenia. Wyjmijmy np. nitkę z naszyjnika pereł, cóż zostanie? Nie będzie to już naszyjnik, tylko garść rozsypanych pereł.

John Stuart Mill, wcale, jak wiadomo, niechętnie usposobiony dla tłómaczenia zjawisk przez urabianie bytów odrębnych, był jednak zmuszony powiedzieć: „Jeżeli mówimy o duchu jako o łańcuchu stanów świadomości, to dla dokładności dodać musimy, że jest on łańcuchem stanów, które same uważają siebie za przeszłe lub przyszłe. I dochodzimy wreszcie do takiej alternatywy, że albo duch, czyli owo *ja* jest czemś *odrębnem* od łańcucha stanów rzeczywistych lub możliwych, albo też musimy przyjąć *paradoks*, że coś, co według naszej hipotezy jest tylko łańcuchem stanów, samo poznać może, że jest łańcuchem stanów“.

Że zaś ja, być może skutkiem „niedostatecznego przygotowania“ paradoksu za poważną prawdę uznać nie mogę, przeto ducha ludzkiego uważam za byt odrębny, stały, substancyonalny — a zatem niezniszczalny czyli nieśmiertelny. Wiara bowiem w możność unicestwienia jakiegokolwiek bytu odrębnego, czyli substancyi jest zabobonem, który dawno już nie ma głosu w sferze rzetelnej wiedzy.

Innych poglądów, wtrąconych do artykułu pana G. jak np. że ślepy traf działający w chaosie może wywołać trwałą harmonię i prawidłowość, że rozwój ma kiedyś zlać w jedność subjekt z objektem i t. p., roztrząsać nie jestem w stanie, zdumiewa mię bowiem i oniemia ich olbrzymia oryginalność, z jaką nie łatwo spotkać się nawet na kartach dziejów podmiotowego idealizmu. Mimo cały szacunek, jaki mam dla zdolności i zasług matematycznych pana Wł. G., jestem pewny, iż zdumienie to podzieli ze mną każdy, kto nie może posłuchać rady, jaką Mefistofeles podsuwa Faustowi:

> Verachte nur Vernunft und Wissenschaft,
> Des Menschen allerhöchste Kraft!

Wład. Mich. Dębicki.

W poglądzie naszym na pracę p. Dębickiego nie chodziło o to, czy autor jest w zgodzie z postulatem psychopannychii, ale, czy jest w zgodzie z zasadą *ex nihilo nihil*, która stanowi punkt wyjścia jego rozprawy. Otóż, w powyższej replice niedowiedziono wcale, abyśmy pod tym względem byli w błędzie. Winniśmy bowiem zwrócić uwagę na ważną tu okoliczność, że zasada *tworzenia* (*creatio*) jest wprost przeciwną epikurejskiej, że więc tam, gdzie przyjmuje się jedną — drugą należy odrzucić, lub odwrotnie. Tymczasem p. D przyjmuje jedną i drugą, stosownie do tego jak mu potrzeba. I tak: jeśli chce dowieść, że dusza jest nieśmiertelną, to powołuje się na zasadę epikurejską i twierdzi, że zginąć nie może, bo jest; jeśli zaś chce pokazać skąd się dusze biorą, powiada znowu, że zostały „stworzone kosztem zasady świata“, — a więc już nie epikurejskiej. Dziwna zaiste logika!

Co dotyczy opinii naszej własnej w kwestyi duszy i jej nieśmiertelności, to luźna uwaga, w której taką streścić usiłowaliśmy, nie może oczywiście wystarczyć za zupełny o tym przedmiocie traktat. Nie mielibyśmy też żadnej pretensyi, gdyby ktoś, po przeczytaniu tej uwagi, uczuł się ciemnym w szczegółach samej kwestyi, lub nawet zupełnie niezadowolonym. Ale okazywać zdumienie na takie zdania jak to, że w chaosie może powstać porządek przez działanie nieustanne losu, lub, że myśl — subjekt utożsamia się z myślą—objektem, jest to nie znać ani zasad prawdopodobieństwa, ani też filozofii eleackiej, a osobliwie szczątków poematu Parmenidesa o Prawdzie.

Wł. G.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Quid pro quo. W pogoni za łatwym dowcipem p. Bolesław Prus w „Kronice tygodniowej" *Kuryera Warszawskiego* poświęca artykułowi mojemu z nru 43 *Prawdy* aż kilka szpalt humorystycznych i krytycznych wydziwiań. Nie miałbym nic przeciw temu, gdyby komentator, według starej swej metody, nie przypisywał mi zdań, których nigdy i nigdzie nie wypowiadałem. Widocznie powtórzyło się w tym wypadku przysłowie o nożycach, chociaż zaczepiając „maniaków, marzących o stworzeniu polskiej szkoły gospodarstwa społecznego," nie miałem wcale na myśli p. Prusa. Powód do kilku tych uwag dał mi artykuł *Dziennika poznańskiego*, co zresztą wyraźnie zaznaczyłem i w odpowiedzi właśnie na jego wywody zauważyłem, że „nie jesteśmy narodem, chodzącym odrębnemi drogami," t. j. że nasz przemysł i rolnictwo ulegają tym samym prawom ekonomicznym, co i w innych krajach, że własność ziemska, zarówno jak każda inna gałąź produkcyi, z pod działania tych praw wyłamać się nie może i że po za kapitalizmem i kolektywizmem nie widzę dla niej innej, jakiejś trzeciej formy istnienia. Widocznie więc p. Prus artykułu mego (zdarza mu się to, niestety, za często) dokładnie nie przeczytał i przyczepił się tylko do kilku luźnych frazesów, bo nie przypuszczam, żeby tego, co czyta, nie rozumiał. Najzabawniejszą jednak jest ta okoliczność, że na wszystkie zdania oponenta o konieczności samodzielnego rozwoju krajowego przemysłu i rolnictwa w zupełności zgadzam się i po części nawet w tym duchu napadnięty artykuł był napisany. *J. L. P.*

Teatr. Ku rozśmieszeniu słuchaczów, nielubiących łamać głowy nad głębszą treścią w sztuce, Teatr Wielki przedstawił 3-aktową farsę Barrière'a *Trzpiotka*, która w zeszłym sezonie była nowalią lekkiego francuskiego repertuaru. Jak wiele tego rodzaju piankowych robót, jest to wesoła błahostka, pełna zabawnych konceptów, śmiechu i bieganiny. Różni się ona od wielu wykrztuszonych fabrykatów szczerym, błyskotliwym humorem, niezwykłą zręcznością pomysłów i elegancyą scenicznej roboty.

Grano tę sztukę u nas po części z prawdziwie francuską werwą. Zabawne trzpiotowstwo głównej bohaterki odtworzyła panna Wisnowska. Pani Lüdowa była pełną szyku paryską modystką. P. Ostrowski doskonale się bawił, grając z prawdziwym humorem rolę poczciwego małżonka ku uciesze rozweselonych widzów. P. Wolski także miał dosyć komizmu, który przydałby się innym przedstawicielom męskich ról tej arcywesołej farsy, granej wogóle bardzo dobrze, a w scenach zbiorowych z szaloną wesołością.

Muzyka. We wtorek odbył się koncert p. Adamowskiego, wiolonczelisty, laureata konserwatoryum moskiewskiego, przy współudziale p. Rutkowskiego jako fortepianisty, p. Czernickiego jako śpiewaka i p. Wł. Szymanowskiego jako deklamatora. Był to koncert „mających przyszłość przed sobą." W teraźniejszości zaś p. Adamowski posiada już technikę wyrobioną świetnie i duży ton, co pozwala mu robić wrażenie na słuchaczach, mimo braku sił fizycznych, a stąd braku temperamentu. P. Rutkowski, nerwowy z natury, nie panuje jeszcze ani nad sobą, ani nad fortepianem. Pan Czernicki, jakkolwiek kształci się w Warszawie, gdzie trudniej o nauczyciela śpiewu, aniżeli o genialnego śpiewaka, umie już używać głosu, którego piękne i silne brzmienie każe przypuszczać w nim z czasem tenora opery warszawskiej, jeżeli opera warszawska zrozumieć zechce, że bez dwu tenorów nawet przy czterech dyrektorach istnieć jej niepodobna.

P. Szymanowski, gimnastykując się rękami, nogami, binoklami, krzesłem, nutami—chodząc, skacząc, stojąc, siedząc, mówiąc, szepcząc, krzycząc, nucąc, mizdrząc się—wypowiedział monolog: *Pianista*, w którym co chwila powtarzający się wyraz *osioł* nie miał oznaczać grubiaństwa, ale dowcip. Publiczność była zachwycona. *S. K.*

Muzeum techniczno-przemysłowe w Krakowie, poświęcone kształceniu kobiet, ogłosiło program lekcyj na bieżący rok szkolny. Na wydziale przygotowawczym wykładać będą: astronomię—dr. Wierzbicki, mineralogię — dr. Alth, botanikę — prof. Rostafiński, zoologię—Jelski, fizykę—prof. Tomaszewski, chemię—prof. Rozwadowski i hygienę dr. K. Grabowski. Na wydziale historyczno-literackim: pedagogikę—p. K. Pietraszkiewicz, estetykę i literaturę polską—dr. T. Ziemba, literaturę powszechną — G. Ehrenberg, historyę polskę—dr. A. Lewicki, powszechną—dr. A. Sokołowski, gramatykę porównawczą—dr. L. Malinowski, historyę muzyki—F. Bylicki i (bez teologii obyć się nie mogło) dzieje kościoła polskiego—ks. Chotkowski. Na wydziale sztuk pięknych: nauka o budowie i proporcyach ciała—dr. Kopernicki, perspektywę—Rotter, historyę sztuki—Wdowiszewski, naukę o harmonii kolorów—prof. Łuszczkiewicz. Główny kierunek nad oddziałem sztuk pięknych objął Matejko. Jeżeli zbierze się dostateczna liczba słuchaczek, otwarty będzie wydział handlowy, a na gospodarczym zaprowadzone będą wykłady: pszczelnictwa, jedwabnictwa, sadownictwa i technologii domowej.

Przeludnienie nastąpiło w więzieniach warszawskich, siedzi w nich obecnie około 500 ludzi nad normę.

Owacye. Publiczność cyrkowa wyprawiła świetną owacyę p. Ciniselli, opuszczającemu Warszawę. Statystyk *Wieku* oblicza, że na 181 przedstwieniach było 160,000 osób, które zapłaciły 230,000 rs. To jeszcze lepsza owacya...

Znajomość geografii. List z Łodzi, adresowany do Nowego Dworu, powędrował aż do New-Yorku, stamtąd dopiero zwrócono go z uwagą, że Nowy Dwór leży—pod Warszawą.

Kogo zadowolić? Ministeryum finansów otrzymało od zjazdu górników prośbę o podwyższenie cła od węgla sprowadzanego z zagranicy, jednocześnie zaś od przemysłowców z Łodzi i innych miast o obniżkę tegoż cła.

Zmarli. Justyn Wojewódzki, autor wielu rozpraw o zakładach dobroczynnybh; położył wiele zasług w sprawie wykonania testamentu Staszyca.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Wiek po raz drugi już umieszcza artykuł polemizujący z *Prawdą* i po raz drugi z kłamliwym dopiskiem, że ona odmówiła przyjęcia repliki. Pozostawiając redakcyi *Wieku* i przytulonym przez nią rycerzom rozstrzygnięcie pytania, kto tam właściwie grzeszy nieprawdą, oświadczamy tylko, że w imieniu p. prezesa wystawy mińskiej był u nas ktoś, któremu *przyrzekliśmy* artykuł pomieścić i *radziliśmy* tylko dla uniknięcia odwetu ze strony korespondenta złagodzić ton. Ów pośrednik miał się znieść z autorem i nas uwiadomić, tymczasem poszedł do... *Wieku*. Ponieważ pismo nasze nie odbiera nigdy zaczepionym głosu obrony, a w tym wypadku dała dowód bezstronności zamieszczając (nr 45) inną odezwę, uważamy więc za konieczne przeciwko takiemu obrzucaniu nas cieniem nieprawdy zaprotestować.

P. Dobr. Gawędy Pańskie, nie licząc nawet dużego wypisu z *Prawdy*, zawierają albo takie uwagi, które już niejednokrotnie wypowiadaliśmy, albo takie, które są grochem rzucanym na ścianę. I Pan sądzisz, że te dwie kasty kiedykolwiek i pod wpływem jakichkolwiek napomnień się zmienią? Wtedy jak wilczyca będzie mamką jagniąt.

Studentowi. W znaczeniu pierwszem: „nareszcie!" — objaśniają to poprzedzające wyrazy.

Studentowi. Z jakiej dziedziny? Jeśli Panu wybór obojętny warto np. *L'hérédité* Ribota.

X. w K. Słowa pańskie są szczere i serdeczne, więc dziękujemy za błogosławieństwo i prośbę do Boga, ażeby nas oświecił, ale wskazaną drogą pójść nie możemy. Zresztą, gdyby Bóg był z nas niezadowolony—to w logicznym wywodzie z pańskiej wiary należałoby przypuszczać, że albo by nam był odrazu dał inny rozum, albo bez pobudki Waszej później go poprawił.

Semicie. Ono od roku leży samo lub wynajmuje się do czernienia nas innym i my mu nie odpowiadamy, a Pan chcesz, żebyśmy z kopij pańskich listów zrobili użytek! Możemy Panu tylko służyć przykładem obojętności na tego rodzaju pokrzyki. *Es muss auch solche Käutze geben*—powiada Faust.

P. Wł. P. w Lub. Dlaczego Pan się nie śmiejesz. Owemu wrogowi żydowskich pierzyn należałoby raczej kazać klęczeć za to, że ustawicznie kłamie, aniżeli z nim polemizować. Wierz Pan, że go nikt nie bierze na seryo.

P. Adamowi B. Urywek pański sprawia wrażenie garści jaskrawych papierków na silny wiatr rzuconych. Słowa pędzą luźnie, błyszczą się, podskakują w górę, ale co wyrażać mają?

OFIARY.

Na grobowiec Bolesława Śmiałego. Studenci II kursu medycyny rs. 5 kop. 25. Z placu bankowego rs. 25 k. 50.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 4 Ноября 1883 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.